

# odgłosy

TYGODNIK  
ŁÓDZKI  
ROK III  
Łódź 4. XII  
1960 r.  
Nr 48 (144)  
Cena 1 zł

KRZYSZTOF POGORZELEC

## W kraju bez cudów



Na praskich ulicach czasami można spotkać i takie pary. Szwęjk oraz narzeczona porucznika Lukasa. Oczywiście — to tylko kręcą nową wersję nieśmiertelnego „Wojaka”

Nowoczesność kończy się w Zebrzydowicach. Elektrowóz robi w tył zwrot i dalej jest już tylko węgiel brunatny. Lokomotywa charyzmy, ale na Hlavní Nadraží wjeżdża z punktualnością szwajcarskiej Omegi.

Praha. Daleki most Karola wabi światłami. Podobno dlatego jest najmocniejszy ze wszystkich na Weltawie, że do rozrabiania wapna użyto przy jego budowie — jaj. Przewodnik powiada — samych żółtek. Największy w historii kogel-mogel.

### NIE UCZTA BALTAZARA

Nie ma turysty, który o ile znajdzie się już w Pradze, nie trafił by na tę placowicę. Trudno się temu dziwić, bo Waclawskie to nie tylko wieczorowe corso dla Pragi, ale również wizytówka całego nadweltańskiego kraju. MODNI ZBOŻI, KORUNA, OBUV, RESTAURACE. W jakiej ROXY, BOLLERA i SPUTNIKI — układają się litery neonów. Ale stop! Bo i co z tego, że napisze, iż w jednym z praskich nocnych lokali przy pomocy telefonu wprost od sto-



Fot. H. Koszko

Dalszy ciąg  
na str.

3

## Czy Pan (i) zna miasto Łódź



## (ŚRÓDMIEŚCIE)

Nie tak dawno, bo zaledwie st., kilkadziesiąt lat temu i nie za górami, za lasami, ale przy ulicy Zgierskiej (ówczesnej ulicy Cygańskiej), Kościelnej (wówczas Piotrkowskiej) i Lagiewnickiej — wokół Starego Rynku leżało nad rzeczką Łódka miasteczko Łódź. Małe rolniczo-kupieckie miasteczko, liczące około 800 mieszkańców, niczym szczególnym nie różniło się od setek innych polskich małych rolniczych miasteczek, jakich wiele było w XIX wieku na naszych ziemiach i jakich dzisiaj także nie brak.

Znane plany Komisji Rządowej z lat dwudziestych ubiegłego stulecia, postulujące stworzenie wokół Łęczycy włókienniczego ośrodka przemysłowego, w którym Łódź miała być jednym z uprzemysłowionych miasteczek satelitarnych, skierowały losy Łodzi na nową tory.

W tym okresie na jej południowych krańcach zaczęły wyrastać nowe osady. Nowe Miasto — z Nowym Rynkiem, obecnym Placem Wolności, potem Osada Łódzka odgraniczona od Nowego Miasta ulicą Dzielną (obecna ul. Narutowicza). Obie te nowe, początkowo niezależne od starego miasta osady

przecinał centralnie trakt Piotrkowski — dziś ulica Piotrkowska. Prostopadle do Piotrkowskiego gościńca wyznaczone zostały działki budowlano-gospodarcze, które określały kierunek przecznicy ulicznych, przeciętych równoległymi ulicami Zachodnią i Wschodnią — później Wólczarską i Kilińskiego.

Nie trzeba chyba przypominać, że ludność zamieszkująca te nowe osady „podłódzkie” stanowili, przede wszystkim przybysze z zachodu, niemieccy rękodzielnicy włókienniczy, których wyгнаła z ojczyzny rewolu-

(Dalszy ciąg na str. 8)

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER

### Honoratka

Dziki małpy siedzą w klatce oswojone w „Honoratce”.



### Spójrzcie

Spójrzcie na tego Piechala: I wzrost i geniusz „malego” kaprala.

Inne  
fraszki  
Sztudyngera  
na str. 11



FRANCISZEK MAŃKOWSKI

## Czy „Kamień młodości” ZWYCIĘŻY STAROŚĆ?

Już w pociągu martwiłem się, gdzie będę nocować. Inowrocław miało niedużo, więc i z noclegiem może być niewesoło. Ale w Biurze Usług Sanatorium otrzymałem nocleg, którego i król by pozazdrościł.

Jednak kiedy król Ludwik XIV nawiał „państwo to ja” i jako „król słońce” panował przez lat około 70, przeciętny wiek jego poddanych dochodził do 34—35 lat. A w czasach gladiatorów żyło się przeciętnie 22 lata. Wiek życia ludzkiego „starzeje się”: na początku XIX w. osiągnął już 45 lat, między wojnami z 1914 i 1939 roku 57 lat, a obecnie przeciętny wiek życia człowieka wynosi 65 lat.

Kiedy wieczorem przed „Dniem Geriatrycznym dla lekarzy” wszedłem do Sanatorium inowrocławskiego, nie poznałem wielkiego hal-

lu, który został zamieniony na salę wykładową. Nad podium dla referentów wisi tablica, którą w czasie rozmowy wskazuje mi dr Snarski.

Czytam: „Niedolestwo wieku starczego postrachem i każdego człowieka i kłeską społeczną — jego profilaktyką i łagodzenie jest obowiązkiem każdego lekarza”.

W związku ze „starzeniem się życia” statystyka podaje, że w Polsce około 1975 roku ilość ludzi powyżej 60 lat wzrośnie z obecnego 8,5 proc. do 11,3 proc. ogółu ludności. Liczba emerytów powiększy się o 1.700.000 osobników. I tym zagadnieniem z punktu widzenia demograficznego i gospodarczego należy się zająć.

Zajęto się. We Francji Oury, Brzard, Duche; w Niemczech Koehler, Buerger; w Rumunii Parhon, Anna Aslan, która przeprowadza kurację u starców

(Dokończenie na str. 8)



JACEK LEBEN

Wydałoby się na pozór, że owe dwie sprawy nie wiążą się z sobą w sposób bezpośredni. Tak jednak nie jest. Zachodzą między nimi związki bardzo a bardzo ścisłe. Lansowana przez Stany Zjednoczone koncepcja przekształcenia Paktu Atlantyckiego w czwartą atomową potęgę stanowi dalekością próbą przetrwania na barki europejskich sojuszników USA znacznej części kosztów wyścigu zbrojeń.

Być może uda się do Stanom Zjednoczonym w przyszłości, niemniej jednak rozpatrując kwestię nie z punktu widzenia dolara, ale z punktu widzenia interesów bezpieczeństwa świata i ewentualnego odprężenia międzynarodowego można dostrzec kolosalne niebezpieczeństwo tej koncepcji. Realizacja jej oznacza przecież zamierzony przyniesienie nowych armii Zachodniej Europy, w tym i armii zachodnio-niemieckiej.

Decyzja konferencji parlamentarzystów krajów Paktu Atlantyckiego, która odbyła się niedawno w Paryżu jest następująca: „Zebrani przedstawiciele parlamentów państw członkowskich NATO po przedyskutowaniu problemu kontroli nad zastosowaniem broni nuklearnej wyrażają Radę NATO do opracowania zasad powołania organu politycznego NATO, którego zadaniem byłoby decydowanie o użyciu broni nuklearnej”.

Nie została więc jeszcze w sposób absolutny zaprobowana koncepcja „atomowej puli NATO”, ale przytoczony fragment rezolucji wskazuje wyraźnie na za-

aprobowanie tego projektu z tym tylko, że warunkowo po uzgodnieniu systemu wspólnej kontroli i organizacji politycznego kierownictwa.

Na tym właśnie punkcie skoncentrował się atak brytyjskich parlamentarzystów laburzystowskich wyrażnie sprzeciwiający się koncepcji „atomowej puli NATO”. Głosem najbardziej reprezentatywnym bvia wypowiedź Johna Stracheya, który oświadczył: „Opracowany system kontroli może okazać się zbyt skomplikowany, aby można było go zastosować w praktyce. Może też okazać się konieczne oddanie właściwej kontroli dowództwu wojskowemu pozostawiając kierownictwo polityczne prawa decyzji”. Strachey oświadczył, że nuklearne siły uderzeniowe NATO w Europie byłyby narażone na zbyt wielkie niebezpieczeństwo i że bazy atomowe Zachodu powinny

licyżna. Brytyjczycy należą do realistów a ułatwia im to spojrzenie fakt posiadania przez Wielką Brytanię broni atomowej na wyłączność

Zachodnie. Niemcy natomiast zaślepione dążeniem do ujęcia w dłoń atomowego miecza robią wszystko, aby przeforsować koncepcję „puli atomowej”. Richard Jaeger, wiceprzewodniczący Bundestagu, oświadczył, że NATO powinna przyjąć zasadę „strategii globalnej” ponieważ groźba komunizmu obejmuje cały świat. Stara śpiewka na starą nutę.

Konferencja parlamentarzystów NATO stanowiła przygotawkę do corocznej grudniowej sesji NATO na szczepu szefów rządów. Na tej sesji zapasie mają wstępne decyzje w sprawie atlantryckiej puli atomowej. Poczekaćmy, zobaczymy.

Już teraz jednak znane są

## O atomowej potędze NATO i ratowaniu dolara

znajdować się na tyłach, tzn. w Stanach Zjednoczonych.

Główni temu wtóruje prasa brytyjska. Dziennik „Scotsman” stwierdza nawet, że plan Norstada polegający na rozprzestrzenieniu baz nuklearnych nie przynosi żadnych korzyści militarnych. Oto co pisze dziennik: „Nie oznacza to wcale powstania czwartej czy piątej potęgi nuklearnej, ale tyłu potęg nuklearnych iu członków posiada NATO. Kontrola nad wykorzystywaniem broni nuklearnej została scen traktowana w tym sensie, że każde państwo mogłoby podjąć decyzję użycia broni atomowej. Z drugiej strony kontrola uległaby osłabieniu w tym sensie, że żadne państwo nie mogłoby się przeciwstawić decyzji użycia tej broni... Jeżeli broń nuklearna zostanie udostępniona wszystkim państwom NATO zwłaszcza Niemcom zachodnim, to jedynie wzrośnie napięcie i wzajemna podejrzliwość, nie wzmacniając wcale bezpieczeństwa świata zachodniego”.

Ocena ta jest bardzo rea-

wyniki misji Andersona i Dillona w Bonn, Paryżu i Londynie. Można je określić w sposób zwięzły: absolutne fiasko. Na bliską metę Stanom Zjednoczonym nie udało się zmusić swoich sojuszników do wzięcia na swoje barki części zobowiązań finansowych, które zbytnio już ciąży na dolarze. Kluczowy fragment operacji rozegrany został w Bonn. Strategiczny cel Andersona, który jak pisze prasa amerykańska, jest bardzo brutalnym rozmówcą i zwykły „atakować bykiem” brzmiał: wydusić od NRF miliard dolarów rocznie. 300 milionów dolarów na pokrycie jednej trzeciej kosztów pobytu amerykańskich wojsk na terytorium Niemiec, 600 milionów dolarów na wspólną pomoc inwestycyjną dla krajów Azji, i Afryki oraz 100 milionów dolarów na utrzymanie NATO, budowę lotnisk, stacji radarowych itp. Adenauer i Erhardt zdecydowanie odmówili. Oświadczyli, że będą wydawać więcej na zbrojenia, ale na zbrojenia NRF. Oświadczyli,

że są skłonni więcej inwestować w Afryce i Azji, ale pod szyldem NRF. Jednym słowem nie zamierzają ratować dolara, myślą natomiast, korzystając z dzisiejszej sytuacji, umocnić pozycje w obozie zachodnim. W korach politycznych i finansowych Paryża i Londynu ucieszono się nawet po cichu bońskimi wypiekami misji Andersona. Dało to bowiem zarówno Brytyjczykom jak i Francuzom pretekst do odrzucenia jakichkolwiek żądań finansowych ze strony USA. Jeżeli bowiem nie udzielają tej pomocy Niemcy zachodnie, siedzące na 7 miliardach dolarów, to niby z jakiej racji udzielić jej mają Brytyjczycy i Francuzi.

W Stanach Zjednoczonych nie szczędzi się teraz zjadliwych uwag pod adresem nieszczęśliwej misji amerykańskich finansistów. New York Herald Tribune określa ją w ten sposób: „Misja Andersona może być przykładem dla przyszłych rządów amerykańskich jak należy prowadzić skazane na niepowodzenie rokowania z krajem sojusznicznym”.

W tym celu należy: — rozpocząć swą misję od oznajmienia przed opuszczeniem Waszyngtonu, że prezydent wydał instrukcje „wysunięcia żądań wobec sojusznicznego rządu, które będą z pewnością nie do przyjęcia”;

— należy upewnić się, że przynajmniej dwaj członkowi uczestnicy misji zabiorą ze sobą swe żony. Żony te powinny być ubrane w wytworne futra tak, aby można było je fotografować przy wysiadaniu z samolotu. Witaający funkcjonariusze będą mogli wręczyć im złote róże, a cyniczny obserwatorzy stwierdzą, że jest to wszystko co misja uzyska. Następnie prasa i radio sojusznicznego kraju będą mogły wypowiadać sarkastyczne uwagi na temat obecności tych pań i luksusu tej wyprawy w chwili, gdy przybywa ona z żądaniem pomocy”.

Zjadliwość to dużego formatu, co jednak dalej z dolaru?

Niech się o to martwią na Wall Street.

# MINAŁ TYDZIEŃ NIE MATURA, LE CZ KIESA...

Z okazji obszczerowania nowego prezesa. w minionym tygodniu piszę felieton na temat polityki kulturalnej. Żelazny temat! Iluż publiczności zarobiło na nim ciężkie pieniądze, co — oczywiście, nie znaczy, że zyskało w ten sposób życie kulturalne.

Czy Łódź stanowi wyjątek? W pewnej mierze tak, publiczności i owszem, piszą co by było, gdyby było i chociaż nikt na ich głosy specjalnej uwagi nie zwraca, sytuacja na polu kultury poprawia się. I to nie tylko dlatego, że młodzi poeci łódzcy doskonale wypadli na ogólnopolskim festiwalu młodej poezji w Poznaniu. Chociaż, prawdę mówiąc, to bardzo radosne, że nasze miasto kominów, szare i smutne zwłaszcza o tej porze, stało się przystanią dla dobrej poezji.

Sytuacja poprawia się także nie tylko z tej przyczyny, że prócz banii z poezją rozbiła się ostatnio druga, z dramaturgią, no i wysypała się na łódzki bruk wcale duża grupka dramatopisarzy, a to, pomijając widzów teatralnych, bardzo cieszy.

I nie dlatego, że nasi twórcy rozgadali się na dobre. Przeglądałem prasę z ubiegłego tygodnia i obliczyłem, że nasi pisarze, dziennikarze, młodszy pracownicy naukowi i starsi, wygłosili w ciągu tygodnia 21 odczytów, czyli 84 odczyty miesięcznie, albo ina-

cej ponad tysiąc rocznie. Dużo, prawda? Sytuacja podwójnie optymistyczna, bo to przecież dobrze, jeśli niektórzy twórcy mówią gadają, mniej wtedy piszą, a drugie dobrze na tym polega, że ludzie napewno z tych odczytów korzystają, uczą się, dowiadują czegoś nowego. Pod tym

wszakże warunkiem, że zechcą obejrzeć dzieła naszych dramaturgów, albo słuchać wierszy naszych poetów. I właśnie w tym miejscu, na odcinku masowego konsumenta dóbr kulturalnych, tak go pięknie nazwał jeden z okólników mini „alinych, na tym kluczowym odcinku, sytuacja poprawia się wyraźnie. Jak już mówiłem, dlatego, że w ubiegłym tygodniu odpowiednie władze objechały, jak święty Michał diabła, pewnego prezesa spółdzielni. Nie posyła swoich pracowników na dalszą naukę, a ma drań kilkunastu inteligentów pracujących, którzy nie raczyli jeszcze ukończyć 7 klas szkoły podstawowej. Pan prezes ukończył co prawda tyle, ale kiedy mowa o maturze powiada tak: nie matura lecz kiesa, zrobisz z ciebie prezesa. Za tę właśnie poezję przywołano go do porządku. To cieszy, bardzo cieszy.

No, bo weźmy dla przykładu nasze spółdzielnie. Prócz „Sławy” i „Xenona”, dyrektorzy pozostałych uważają naukę za zbyt ciężki kawałek chleba, który chleba nie daje i nie oświecają dosłownie ani jednego pracownika, dbają o masę. Albo inny przykład. Zakłady Przemysłu Jedwabniczego, te z ulicy Strzelecka, ZPB im. Waltera, Rudzka Wykończalnia Przemysłu Bawełnianego, ZPB im. Dzierżyńskiego i Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego zgłosiły do szkół dla dorosłych 812 pracowników, uczy się zaś 44. Ładna liczba, romantyczna, tylko mała.

I na cóż zda się wiersz poety, nawet jeśli go autor dla ludzi napisał, a nie na złość kolegom, na cóż się zda nawet dobra sztuka współczesna, może się przecież zdarzyć, że ją ktoś z naszych łodzian w końcu napisze, na cóż zda się nawet świetny odczyt, prelegenta, jeżeli odbiore, bez którego wszelka sztuka umiera, nie zdobyje minimum wiedzy, odrobiny chociażby nawyków kulturalnych. I dlatego szafcerowanie, które dostał pan prezes ułamka za najważniejsze w życiu ubiegłego tygodnia. Uważam dlatego, że za presem pójdą inni i to będzie wcale niezła polityka kulturalna.

ERAZM WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI



Relacja sprzed lat

„Onegdajsz dzień stanowiąc pamiętną epokę w dziejach Polski, w nim w Warszawie rozpoczęto ważną Rewolucję. Nim wszelkie szczegóły dokładnie będą wiadome, umieszczamy cenniejsze wypadki. Od rana panowała spokojność, nagle o godzinie siódmej wieczorem rozniósł się wieść, że trzy Pułki Gwardji konnej Rosyjskiej rozpoczęły walkę z młodzieżą szkoły podchorążych i kilką kompanjami wyborowcami pułków piechoty Polskiej. Walka była krwawa, żołnierze nasi i młodzież odznaczyła się nieustraszoną odwagą; z obu stron legło niemato. Pułki jazdy Rosyjskiej cofnęły się. Oddziały walecznych Polaków pościpiły do Belwedera, lecz tuż w swem mieszkaniu nie znajdował się Wielki Xze Cesarzowicz, na którego życie targnął się nikt nie miał zamiaru. W tejże chwili uderzono w bębny, i wszystkie wojsko stojące w Warszawie stanęło pod bronią”.

Ta relacja pochodzi sprzed 130 lat, przepisuję ją z „Ku-

rjera Warszawskiego” z dnia 1 grudnia 1830 r. Fotokopie pierwszej strony „Kurjera” zamieszczono w ostatnim numerze „Świata”, redaktorzy powstrzymali się od komentarzy, ja jednak chciałbym zwrócić uwagę na ten relacji, jakże oschły i beznamiętny. Nie tylko zresztą beznamiętny, relacja jest całkowicie niejasna, i czytający „Kurjer” warszawiaczy niewiele dowiedzieli się zapewne o tym, co zaszło w nocy z 30 listopada na 1 grudnia. Rozpoczęła się jakaś rewolucja, walka była krwawa, młodzież nasza odznaczyła się nieustraszoną odwagą, generałowie Redel i Bontan zostali aresztowani, ale na życie Wielkiego Księcia Cesarzowicza nikt nie miał zamiaru nastawiać. Pułk Gwardji Litewskiej po niejakiej walce cofnął się, Pułk Strzelców w części nie należał do walki, utarczki trwały co prawda do świtu, historycy mają dziś na ten temat ściślejsze wiadomości, ale 1 grudnia 1830 r. warszawiaczy nie dowiedzieli się, po czyjej stronie stał Pułk Gwardji, a po czyjej Pułk Strzelców, nie dowiedzieli się tego przynajmniej od owego dziennikarza. Ta niejasność relacji jest wyrazem nie zamierzona, dziennikarz opisujący wypadki owej listopadowej nocy, nie zamierzał się angażować, informacje były zapewne sprzeczne, szanse rewolucji niepewne, sympatia do chłopów ze Szkoły Podchorążych szła w parze z uznaniem dla władzy

i prawa. Poczekaćmy, myślałem dziennikarz, jutro wszystko się wyjaśni, jutro się zaangażujemy. Nadeszło jutro, i już było wiadomo, że dzień miniony był dniem krwi i chwały, i że cesarzowiec ocenił cudem, i już wszyscy wiedzieli — choć dziennikarz o tym zamilczał — kto za co był aresztowany i kto za co poległ, i dziennikarz mógł się wreszcie zaangażować, i, być może, zaangażował się. Postawa tego anonimusa, choć nie godna pochwały, warta jest przemyslenia.

### Król

Króleczka notatkę o bardzo dziwnym królu znalazłem w ostatnim numerze „Przekroju”. Król rządził w Syjamie, nazywa się Bhumibol i jest — jak pisze „Przekrój” — „jednym z najdziwniejszych monarchów na świecie. W palacu króla w Bangkoku nikt nie ma prawa spojrzeć mu w oczy; studzy podają mu dokumenty na złotych tacach, odwracając wzrok. Zarazem jednak król — który jest także mnichem buddyjskim i prawie bogiem dla swoich poddanych — musi w określonych dni zbierać na rozstajnych drogach. Wszystko to nie przeszkadza królowi być amatorem wyścigów samochodowych i znakomitym jazzmannem; grał z Benny Goodmanem i został zaproszony (jako wykonawca...) na festiwal w Newport”.

Oto, pomysłem sobie — choć nie jestem, proszę mi

wierzyć, monarchistą — król dla Polaków. Bo jeśli byśmy już, w co zresztą wątpię, zdecydowali się na króla, to chyba tylko na takiego, który byłby równocześnie tradycjonalistą i antytradycjonalistą. Takiego więc, który byłby amatorem gry w „Toto-Lotka” i wojen ze Szwedami (bo to heretycy), i którego można by rano zobaczyć w kościele, a wieczorem, grającego na saksofonie, w „Stodole”.

### Gnoliwe Polki

Kiedy król Bolesław Śmiały ze swymi rycerzami wojował na Wschodzie „... naklonili niewolnicy żony i córki swych panów do poddania ich ich chuciom; jedne wyglądał z niemem mężów już znużone, inne zwątpieniem uwiedzione, a niektóre nawet przemocą porwane w uściski niewolników. Ci pańskie zajęli siedzi by, obwarowali miasta i uracającym panom nie tylko przystępu wstrząsnali, lecz i po powrocie nawet wojnę wydał. Za tak niezwykłe zachowanie niezwykłymi też karami panowie ich wytypiłi...”.

Cytat pochodzi z Kroniki Polskiej mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem, a podają go za Stanisławem Grodzkim, który w ostatnim numerze „Życia Literackiego” opublikował rozprawkę, zatytułowaną „Jak się prowadził Polki w średniowieczu”. Rozprawka jest godna przeczytania, polecam ją gorąco przede wszystkim mi-

łośnikom lektur pikantnych, liczne cytaty z kronik średniowiecznych, wtopione w tekst Grodzkiego, nie świadczą, niestety, bardzo ma przykład, najlepiej o obyczajach słowiańskich matron. Opo- wieści o złym prowadzeniu się Polek mają wszakże, zdaniem Grodzkiego, „charakter jednostkowy i nie pozwalają na uogólnienia. Żadne więc z tych źródeł nie może podważyć dobrego imienia kobiety — Polki sprzed lat tysiąca”.

Dobre imię, to rzecz nieetykalna, nie więc dziwnego, że oburzają się Grodzki na tych „...pozbawionych wszelkiego pietyzmu dla przeszłości badaczy”, którzy „te z woseczmiar słuźne i podkreślenia godne opinie” o cności Polek kwestionują. I na „potwierdzenie (?) swych przekonania taki fragment relacji z podróży do krajów słowiańskich Ibrahima Ibn Jakuba przytacza:

„Kobiety ich, kiedy wyjdą za mąż, nie popełniają cudzołóstwa; ale panna, kiedy pokocha jakiegos mężczyznie, udaje się do niego i zaspokaja u niego swą żądze. A kiedy małżonek poślubi dziewczynę i znajdzie ją dziewicą, mówi do niej: «gdymy było u tobie coś dobrego, byłbyś się poządali mężczyźni i z pewnością byłabyś sobie wybrała kogos, kto by wziął twoje dziewictwo». Potem ją odsyła i uwalnia się od niej”.

I komu tu wierzyć? Ibrahimiowi czy Grodzkiemu?



„Uzeniny“ to wędliny, jeśli mowa „o bydleniu“ — chodzi o mieszkanie, narodowe ich hobby nazywa się „parki“, a miłość? Miłość jest „laską“

Gdzie



## W kraju bez cudów

Jedna z wielu wystaw, będących szkołą dobrego gustu. Tym razem ceramika i szkła. Organizator — praski Instytut Kultury Mieszkaniowej i Odzieży.



(Dokończenie ze str. 1)

Włażka można porozmawiać z innym „stolikiem“?

Zresztą turysta rzadko trafia do takich przybytków. Jeżeli, to już do KORUNY.

Nie wiem jak oni to robią mimo, że z jej dyrektorem Josefem K. Hlinakiem zjadłem niejedną barówkę. Fakt pozostaje faktem: codziennie przez kilka stosunkowo niewielkich sal konsumpcyjnych tego baru-automatu — przewijają się ponad 40 tysięcy zgłodniałych prażan, a w niedzielę lub święto dwa razy tyle.

Nie chodzi mi oczywiście o tzw. „przepustowość“. Sek w tym, że te 40 tys. głodomorów codziennie i o każdej porze może sobie wybrać jakieś danie z menu, które liczy więcej niż 30 pozycji „ciepłych“, kilkadziesiąt rodzajów kanapek, nie mówiąc już o rozmaitości ciast oraz napojów, przy czym te ostatnie to całkiem odrębna historia. Bo proszę posłuchać: kilka elektrycznych maszynek, całe baterie flaszek z sokami i... coś jeszcze. Czasami tym czymś są loddy, innym razem — kakao lub czekolada. Do tego, jako dodatek, wprawne ręce mikserów. Kilka ruchów i jesteś w posiadaniu szklanczy wybornego owocowego względnie czekoladowego ocetaliu, jeśli zażadasz to może on być z lodem, zresztą — Bóg wie jeszcze z czym. Siedzisz sobie na wysokim barowym stolku i popijasz. Cały rarytas kosztuje zaledwie 2 korony, a przyjemność!

Rozumiem dlaczego — choć najdroższe danie w tym barze-automacie, — sztuka mięsa z knedliczkami i kapustą — kosztuje zaledwie 6 koron — KORUNA przynosi milionowe zyski. Ale dla przeciętnego zjadacza ryżu w naszych barach mlecznych rzecz jasna już zgola tajemniczą jest poza tym czystość stolików KORUNY, brak bezładnie pozostawionych brudnych naczyń, nieobecność specyficznego i nie zawsze milego dla nosa zapachu kuchni.

TAJE CA. Jedną z wielu czechosłowackich handlu. Więc no, sięć sklepów garnazeryjnych. Wchodzą, dają ci metalowy wózek i pchając go posuwasz się wzdłuż rozmieszczonych w sklepie ład chłodniczych. Tutaj weźmiesz bułki, tam obrane i oplukane ziemniaki, porcję przygotowanego mięsa lub ryby. Opakowanie? Hermetyczne, przezroczyste torebki z polietylenu, które tutaj nie stanowią żadnego kuriozum.

Stoje przed witryną MODNI DUMU na ulicy Příkop. Za szklaną taflą krawcy kręcą się z centymetrami. Placówkę handlu państwowego, a głównie wielkie magazyny i domy towarowe, nie uciekają od klienta. Odwrotnie, starają się świadczyć na jego rzecz jak najwięcej usług. Stąd w licznych sklepach z tekstyliami pracuje tzw. służba kroju, która na życzenie klienta i stosunkowo niewielką opłatą odpowiednio „przyrządzi“ materiał według miary i przedstawi wionego fasonu. W BIALYM LABĘDZIU — największym domu towarowym Pragi widziałem taki garnitur oczekujący na rabywcę, garnitur to tylko troskliwie opakowany w celofan „szablon“ przyszłego ubrania. Jeżeli zdecydujesz się je kupić, zjawia się krawiec, tam podetnie, tu przykroi i będzie jak spod igły.

Czesi na pewno nie odkryli Ameryki. Raczej potrafią umiętnie rozumować, wyciągać wnioski i NASLADOWAĆ. Równania są nieraz dosyć zawile. Np. 2.563 tys. kobiet — 42 proc. ogółu zatrudnionych. I tym samym konieczność przygotowania — dzień w dzień — ileś tam milionów porcji na wpół przygotowanych i opakowanych w higieniczną etylnkę „prefabrykatów“ obładowych.

Albo: zechcesz być posiadaczem super modnych bucików, które fabryczna taśma wyrzuci w tysiącach sztuk dopiero za pół roku? Nie nie stój na przeszkodzie. Są od tego specjalne sklepy. A że zapłacisz trzy razy drożej.

Czechosłowacki handel uśmiecha się do klienta, sadza go na wygodnych fotelach, nie pozwala palcem kiwnąć, gdy przymierza but, doradza, podsusza i mówi — jestem dla ciebie.

A propos mówi. „Przy o-

kazji premiery Jednego z polskich filmów ukuto takie powiedzonko: „Nie uczta Baltazara, ale uczta się sami“.

W HADESIE I GDZIE INDZIEJ

Charon ma starannie zaodulowane włosy i siąka nosem, bo ma katar. Jest zimno, za kołnierz cieknie woda, ale warto zobaczyć morawską MACOCHE, Woda i wapien. Ręka natury wyrzeźbiła z nich dzieło sztuki, wszędzie gdzie okiem sięgnąć — potężne „drzazgi“ ostro zakończone soople. Stalaktyty. Wiek — liczę skromnie 350 milionów lat.

Po raz pierwszy człowiek trafił do tego czeskiego Hadesu w roku 1909 i był nim dr Absalom. Światła reflektorów przemysłnie ukrytych skupiają się na największym w zachowanych w Europie środkowej stalaktytów — „Obrońcy“. Rozmiary? Długość — 4 metry. A potem 30 minutowa przejażdżka łodziami po płynącej podziemnym korytarzem rzecze Punkvie. Ale przedtem jeszcze narzą przewodniczka — Anna Histova, mówi że właśnie, o, z tamtego skalnego występu przed setkami lat zbrodnicza ręka macochy — żony górala — chciała strącić w przepaść małego chłopca, w krwawo okupić zdrowie swojego dziecka.

Polskiego turystę zastanawia umiejętność z jaką Czechosłowacy potrafią „sprzedawać“ swoje zabytki kulturalne, czy pamiętki narodowe. W katedrze św. Wáta na praskim Hradzie zachwyca piękny skarbiec klejnotów koronnych. Z zainstalowanych głośników płynnie nagrany na taśmie głos cicerone. Możesz zobaczyć i koronę Wacława, czeskie insygnia królewskie o ile... zapłacisz dwie korony.

Najpierw obejrzyj rząd wapiennych pudełek od zapalek, pudełek — dumków wielkości camp'ngowej budki. Wewnątrz maleńkie lzy o wymiarach „dwa na dwa“, woskowe mumie będące wierną kopią ludzi, którzy tutaj przed setkami lat mieszkali. „Złota Uliczka“. Ale przy wyjściu wciśnij ci pocztówkę, którą chętnie kupisz, stając się znowu uboższym o kilka halery,

I tak jest niemal wszędzie. Przed byle renesansową, zabytkową wieżą, siedzą babulnki, robią na drutach i inkastują od żądnych wrażeń turystów korony za wstęp. W Czechosłowacji nie ma problemu dotacji państwowych na konserwację i utrzymanie narodowych pomników. One zarabiają same na siebie, a przy okazji również turysta jest zadowolony, bo zawsze ma pod ręką fachowego przewodnika. Więcej. Z precyzją wykorzystuje się uczucia narodowe innych nacji. Przykład? Słynna brneńska twierdza Spielberg. W jej kazamatach po krakowskich wypadkach roku 1846 odsiadywało karę twierdzy ponad 190 polskich patriotów z Edwardem Dembowskim na czele. Jest więc specjalnie urządzona polska cela. Są również inne: włoska, niemiecka, francuska. Czy któryś z krajan będących w Brnie, nie zajrzy tam, by oddać hołd swoim przodkom?

I przy okazji znowu kupi widokówkę, wysupła choćby w urządzonej na miejscu kawiarni kilka koron..

BON TON, SAVOIR VIVRE

Przygodny obserwator ulic wieczornej Pragi jest zaskoczony. Jakże to święto, okazja, dla której tylu młodych ludzi ubrało czarne „muszki“, wizytowe garnitury, nieskazitelnie białe koszule? W pierwszej chwili nasuwa się taka odpowiedź: pewnie jakiś wielki zespół artystyczny bawi w stolicy CSRS. Ale ten gigantyczny „chór“ można spokoić nie tylko na Wacławskim Namesti, ale również na Příkopach, Małej Stranie. Przyznaję, że nie od razu zgadłem. Dopiero przypadek zdarzył, że trafiłem na Indriska..

Mala salka. Ale przed tym jeszcze uważny cerber taksujący wzrokiem każdego wchodzącego. Chłopcy i dziewczęta. Pierwsi — w strojach wieczorowych, chociaż nie oznacza to wcale smokingu. Ot, granatowy lub czarny garnitur. Jedyny obowiązek: muszka i biała koszula. Inaczej — nie wejdziesz. W moim przypadku pomogła dziennikarska legitymacja..

Wszystko zaczyna się tańcami. Maestro pokazuje ja-

kieś skomplikowane pas, poucza jak „trzymać“ w tańcu partnerkę, jak dziękować, odprowadzać na miejsce. Młodzi ludzie traktują to wszystko jak dobrą zabawę. I w istocie jest nią ten wieczór nauki eleganckiego zachowania. Nawet wtedy, gdy przy skromnym podwieczorku kelner — również instruktor — czasami komus szepnie, że kawalek tortu je się specjalnym widelczykiem. Przy tej okazji młode dziewczęta dowiadują się w jaki sposób, tanio i estetycznie urządzić koleżeńskie przyjęcie, co trzeba zrobić by ciastka na pewno były kruche, a goście wyszli z domu młodej gospodyni uraczeni i zadowoleni.

To nie są zajęcia obowiązkowe. A jednak prawie każda szkoła — przynajmniej w Pradze — stara się zagwarantować taki kurs bon tonu dla swoich wychowanków. I chodzi.

Myślę, że z pożytkiem.

NOCNE RODAKÓW ROZMOWY

Zwykle zaczyna się od szklanki Pilsnera. Dlaczego jest taki dobry?

A potem spijają się porównania i refleksje.

Nie zawsze — przynajmniej to — entuzjastyczne. Bo prawdą jest, że para bucików damskich kosztuje w Czechosłowacji około 90 koron, że obiad można zjeść za 7-8 koron, ale za to wódka jest droga i niedobra. Tak samo zresztą jak papierosy. Prawdą jest także, że Czechosłowacy ubierają się na ogół skromnie, bez specjalnej elegancji. Powszechnie panuje w modzie styl raczej sportowy, a więc buciki na płaskim obcasie, koszule z wykładanym kołnierzem, swetry. Sztynne halki dopiero się pojawiają.

I często pod tym właśnie kątem ocenia się poziom życia mieszkańców nadwiel-tawskiego kraju.

Hm, być może. Tylko z drugiej strony zastanawiający jest wielki wachlarz artykułów przemysłowych — różnych pralek, kuchennych robotów, odkurzaczy, elektrycznych aparatów do golenia itd, itd.

— Dobrze — odpowiadają na takie dietum — malkontenci. Ale przecież w ich sklepach, choć towarów jest w nich moc, przeważają sta-

re modele. Ergo — nasi bracia nie nadążają za modą.

Hm, ale czym w takim razie wytłumaczyć te piękne i nowoczesne wzory obuwia czechosłowackiego, które można obejrzeć w witrynach naszych „galluxów“? Sądzę, że popularny Kisiel z „Tygodnika Powszechnego“ trafił w sedno rzeczy. W jednym ze swoich cotygodniowych felietonów napisał on: „Ot, Cześci nie krzyczą, ale produkują i handlują... Łażą mi po mózgu słowa; praca organizacja, fachowość, porządek, EKSPORT...“

Utkwiły mi w pamięci słowa, które usłyszałem od jednej z ekspedientek MODNI DUMU w Pradze. — Koszule non xiron? Mamy, ale chwilowo zabrakło. Sprzedaliśmy większą partię Wegrom...

I jeszcze coś dla malkontentów, ceny: 32 korony kosztuje para eleganckich skórzanych rękawiczek. Za 180 możesz dostać elektro-luks, maszynka elektryczna do golienia kosztuje 130 koron.

To prawda, że nasz wieczorny deptak na Piotrkowskiej jest więcej barwny od corsa na Wacławskim. Ale... czy papuzie pióra świadczą o kolczyce wszystkich płatków?

Zresztą gdyby tak policzyć metry nylonowego „misia“, pary rękawic, sztuki aparatów do golienia, sztywnych halk à 130 koron za sztukę... W Zebrydowicach nasi celnicy mają pełne ręce roboty.

\* \* \*

W WYSOCHYM MYCIE, W FABRYCE AUTOKARÓW „KAROSA“, DYREKTOR POLACEK POWIEDZIAŁ DO MNIE: — BY ZAROBIĆ 1800 KORON TRZEBA SO-LILNIE PRACOWAĆ.

I opinia 16 Polaków z Jel-cza, którzy odbywają w „Karusie“ praktykę: „— Przeraza tempo, twarde chronometraż czasu pracy, dyscyplina automat, Odejsz od taśmy — przestępstwo“.

ZA MIEDZĄ NAPRAWDĘ NIE MA CUDÓW...

KRZYSZTOF POGORZELEC

odgłosy str. 3



# „ONI“ powrócili

czyli  
kto jest kto?

A zresztą jak z jednej strony nie ma w Bundeswehrze ani jednego starszego oficera, który b- nie służył przed laty w Wehrmachcie, tak z drugiej — do nowego korpusu oficerskiego nie przyjęto nikogo z pozostałych przy życiu prawdziwych uczestników owego spisku. Dostali się tylko tacy, którzy już w rok po kapitulacji przestali się podzywać pod antyhitlerowskie zasługi.

A jednocześnie od dnia 1 września 1956 r. byli oficerowie SS do rangi Obersturmbannführera — to znaczy podpułkownika — przyjęli zostali do Bundeswehry z zaliczeniem stopnia i wysługi lat. Takie bowiem zarządzenie podpisał w 17 rocznicę wybuchu wojny pan Teodor Blank, poprzednik pana Straussa na stołcu ministra obrony.

Kiedy zaś, w miesiąc później, zgłosił się na ochotnika do Bundeswehry pewien były kapral Wehrmachtu, wyrzucony z wojska po ujawnieniu żydowskiego pochodzenia, nie przyjęto go i kwita. I by raz na zawsze nie dopuścić do podobnych ewentualności, wydano tajny okólnik do biur werbunkowych, z zakazem przyjmowania do wojska osób pochodzenia żydowskiego, a nawet splemionych powiązaniem z rasą żydowską przez małżeństwo.

Nie ma zapewne zbyt wielu Żydów, którzy by chcieli służyć w Bundeswehrze, ale sam fakt ich dyskryminacji wskazuje doskonale na ducha owej armii, która manuje się najbardziej demokratyczną w świecie, a której w rzeczywistości przyjęła dziedzictwo prusactwa i hitleryzmu.

Wprowadzając obowiązkową, dwunastomiesięczną służbę wojskową, zlagodzone jednocześnie dyscyplinę. Tak głoszą urzędowe projekty. Ale na czym to „lagodzenie dyscypliny polega? Otóż, zniesiono parady i defilady wojskowe, co jest zresztą nieprawdą, skasowano w koszarach łóżka piętrowe, co podobno jest prawdą, i wreszcie zezwolono żołnierzom na przypinanie na ścianach fotografii gwiazd filmowych, co jest zaiste daleko posuniętą demokratyzacją obyczajów.

Szkoda tylko, że dowódcy tej nowej, „demokratycznej“ armii holdują tak przestarzałym mąstom. Wierni starym teuton- skim tradycjom, jak kiedyś generałowie Wilhelma II w Republice Weimarskiej, byli generalnie hitlerowscy zażądali publicznie prawa wplywania na decyzje rządu w Republice Federalnej. I nie ulega wątpliwo- ci, że prawo to otrzymali. Po prostu są ludzie, którzy zbyt szybko zapomnieli, jak drogo się

placi za generalsko-niemieckie pragnienie władzy.

Tak więc w lipcu bieżącego roku zebrani w Kilonii generałowie Bundeswehry uchwalili zadanie natychmiastowego wyposażenia armii w broń atomową. 20 sierpnia memoriał ich podpisany przez wiceadmirała Rugge ukazał się w prasie, a już następnego dnia odbyły się w Zagłębiu Ruhry oraz w Bawarii masowe manifestacje na rzecz zwrócenia Niemcom Górnego Śląska i Sudetów. A niektórzy dygnitarze rządowi poczęli jawnie wspominać o konieczności przywrócenia Rzeszy Niemiec- kiej w granicach z 1871 roku — włącznie z Alzacją i Lotarynią, Poznaniem i Toruniem.

Zadania generałów - rewizjonistów na razie nie poparli A- erykanie, którzy uważają, że wobec algierskich trudności Francji, pierwsze miejsce w 10- nie Wspólnoty Atlantycznej przypaść musi armii panów Straussa i Heusingera. Generali Norstad obiecali nawet uzbrojenie Bundeswehry w rakiety typu Polaris, którymi osiągnąć można Moskwę. Tak więc wszystko rozwija się po myśli militarystów z Bonn i jeśli nie przeszkodzi głos światowej opinii publicznej oraz stanowcza reakcja Związku Radzieckiego, możemy się spodziewać nowej, czwartej potęgi atomowej.

W każdym razie nie ma już przeszkód prawnych na drodze atomowego dobrodziejstwa Niemiec Federalnych. Nie broni im tego prawo Mac Mahona, które przeszkodziło Francji w uzyskaniu informacji o amerykańskich tajemnicach wojskowych. Nie broni im tego układ paryski z roku 1954.

Układ ten zabraniał Republice Federalnej produkowania na swoim terytorium rakiet, min magnetycznych, okrętów wojennych o wyporności ponad 3000 ton i podwodnych łodzi powyżej 350 ton, bombowców oraz bomb atomowych. Dzisiaj już wszystkie zakazy nie mają znaczenia.

W ciągu dwóch lat Bundeswehra będzie dysponowała 12 dywizjami o łącznej sile 365 tysięcy ludzi. (Nie mówiąc o jednostkach terytorialnych, które nie podlegają kontroli NATO). Obecnie już ordła do dyspozycji generała Norstada 7 dywizji z 269 tysiącami ludzi, podczas gdy wkład jej partnerów jest znacznie skromniejszy: USA — 3 dywizji, Wielka Brytania — 3 dywizji, Francja, Belgia i Holandia — po 2 dywizje, oraz Kanada — 1.3. W dodatku dysponuje Niemiec- kie z wojskami typowo kadrowymi — na wyrost. Liczba oficerów „na zastawie“ jest tu ponad siedemnaście tysięcy.

(Dokończenie na str. 11)

MICHAŁ  
ZEGAROWSKI

- Rekwizyt dziennikarza
- Warszawski prokurator
- Moskiewskie transakcje
- Komiwojażer

# Turyści z bagażem



(Korespondencja własna).

Dwurzędowy garnitur z tenisu. Modna ongiś chusteczka w bocznej kieszonce. Ot, po prostu garnitur modny dobre kilka lat temu. Taki właśnie garnitur ofiarował mi kuzyn przed wyjazdem do Związku Radzieckiego.

— Sprzedaż go za cztery- sta rubli. W zamian za to przywieziesz mi zegarek na rękę i maszynkę do golenia — pożegnał mnie.

Garnitur wziąłem, jako że nie lubię nikomu odmawiać. Wrzuciłem go na dno walizki. Zapomniałem o jego istnieniu. Później ów garnitur stał się świetnym rekwizytem w tropieniu szlaków turystycznych (czytaj: wyższych sfer handlowych).

Cóż, taki już los niektórego garnituru. Ale zaczniemy od początku...

— Idą, idą — rozległ się głos turysty wychylającego się z okna wagonu. Niewinne słowa, a ile potrafią zrobić zamieszania!

Stoimy na stacji granicznej w Terespolu. Ten i ów kręci się niespokojnie po korytarzu, pałą jednego „giewonta“ po drugim. Twarz Mariny co chwila zmienia barwę. Jest purpurowa. Oczy jej patrzą z wyrazem lęku. Marina staje się nerwowa, odpowiada półsłówkami.

— Żeby tylko nie sprawdzali tej małej walizki. Ciekawa jestem czy zabiorą mi cztery komplety damskie? — pyta głośno.

— I tych kilka płaszczy — dodaje.

Przyszedł Kapitan z WOP sprawdził paszporty. Celnicy w szarych mundurach z zielonymi paskami przystępują do sprawdzenia bagażu turystycznych.

— Zabiorą, czy nie? — ta myśl przechodzi przez mózg każdego turysty. Ja też bałem się, czy przewiozę swój rekwizyt. Obok drugiego przedziału zebrała się grupa kolegów. Chyba ktoś „wpadł“. Jakiś warszawiak ma trzy bluzki z łódzkiej „Olimpii“. W celofanie, z ceną. W karcie dewizowej zmniejszył wartość każdej bluzki o dwieście złotych. Kilku rzeczy nie wpisali.

Energiczny celnik każe dopełnić formalności.

Marinie udało się. Nie sprawdzali jej małej walizki. Jurkowi zdeponowali tysiąc złotych, Inni, widząc co się dzieje, zabrali się do dokładniejszego wycielniania karty dewizowej. Mnie garnituru nie zabrali.

— No i jak, w porządku? — pyta kierownik grupy turystycznej.

— Jasne! — śpiewa zgodny chór turystów.

Celnicy wyszli. Pociąg wolno ruszył w kierunku Brześcia. W przedziałach zaczęła toczyć się gorąca dyskusja na temat co kto wiezie. Teraz nikt nic nie ukrywa. Wprost przeciwnie. Marina nie przypomina tej Mariny sprzed pół godziny. Rozgadała się na dobre. Warszawa- wiak jest smutny, osowiały. Wiadomo — nie udało się.

Nareszcie w Moskwie. Po czterech godzinach jazdy. „Sputnik“ zakwaterował nas w hotelu, w którym

mieszkałi delegaci na VI Światowy Festiwal Młodzieży w Moskwie. Od pierwszych chwil pobytu w stolicy Kraju Rad, sfery handlowe pracują w pocie czoła. Niczym krety drążące podziemne korytarze, wyciągają ciuchy z dna walizy. Odkładają na bok, chowają do toreb turystycznych. I później w kurs.

Turyści z prawdziwego zdarzenia odpoczywają na hotelowych łózkach, patrząc z ironicznym uśmieszkiem na przygotowywania handlowców. Trudy podróży, to dla nich fraszka. Leszek też idzie pracować. Odłożył już na bok kilka płaszczy igelitowych, kwieciste koszule, farmerki i trzy metry brązowego pluszu.

— Mam do opylenia garnitur — rzekłem niepewnie.

— Chodź ze mną — odparł po chwili.

W ubiegłym roku Leszek był w Moskwie z „Orbisem“. Mieszkał w „Leningradzie“. Zna już trochę tutejsze stosunki. Kiedy szukał w ubiegłym roku „skupki“, poznał młodego faceta. Ubili interes. Wczoraj Leszek wysłał do niego telegram z Brześcia. Dziś ów facet ma czekać na niego, a raczej na nas, obok pięć „dwojki“ przy wystawie przemysłowej.

Jesteśmy na miejscu. Podchodzi do nas młody człowiek. Modnie ubrany. Wąskie spodnie, na nogach ma wyczyszczone calipsiaki. Spod igelitowego płaszcza widać jednorzędówkę. Rozgląda się na różne strony czy nie widać milicjanta. Nie, nie ma. Bierze od Leszka torbę. Idziemy na pobliskie podwórko. Tam czeka wórtnik. Podobnie ubrany. Wygląda na to, że byli już wcześniej umówieni co do ceny. Wszystko robią tak, jakby jeden drugiemu podawał bieliznę przyniesioną z magla. Bez słowa. Z zagadkowym uśmieszkiem.

Wspominam, że mam do sprzedania garnitur z tenisu. Proszę, bym przyniósł go. Wracam do hotelu. Tu dopiero nasi rodacy ujawniają, ukryte w nich talenty handlowe. Miejscowi paserzy, — bo tych nigdzie nie brak — są już w małych hotelowych pokojach. Mają duży wybór, bowiem Polacy od razu wyciągają wszystko na „Jawę“. Wybierają, rzecz jasna, ciuchy najbardziej chodliwe, by móc później lepiej zarobić. Ludzie wszędzie są jednakowi. Jeśli „to-war“ ma etykietę „z zagranicy“, to natychmiast kupują, niejednokrotnie tracąc na tym. Drzwi do pokoi- jów zajmowanych przez Polaków nie zamykają się. Już wszyscy wiedzą — Polacy przyjechali. A jak przyjechali, to na pewno mają coś do sprzedania.

Tak, smutna to prawda, lecz my mamy już wyrobioną markę w Moskwie. Przekonałiśmy się o tym na własne doświadczenie. Lecz o tym później. Tymczasem...

Młoda moskiewczanka nastawiła się na kupno damskich ciuchów. Komplety, nylonowe bluzeczki, chustki na głowę. Nawet całkiem dobrze płaci, zdaniem handlowców. A oni znajdują się na tym. Pewien młody człowiek na przyjechał po kolacji, by wziąć zamówione płaszcze, farmerki, koszule. Mówi, że z tego żyje. Nie

pracuje nigdzie, tylko obiera się w tych sferach, skrupuje, by później jechać na prowincję i tam sprzedawać po wyższych cenach.

Wieczorem po kolacji handlowcy robią pierwszy remont. Nie, mianka nie mają. Promienie wrzesniowe go słońca budzą nas. Lądnie zapowiada się następny dzień pracy handlarzy. Po śniadaniu kierownictwo zorganizowało wycieczkę na „wystawkę“. Wspólnie z Janką, Adą, Andrzejem i Jurkiem wędrujemy na bazar. Nie- stety. Zatrzymywani przez nas ludzie, patrzą z ukosa. Nie chcą kupować. Czyżby fiasko?

Stoimy z Andrzejem bezradni. Nasi handlowcy gdzieś zniknęli.

W pobliskiej hali targowej Ada z Janką stoją przy jednym z kantuarów. Starsza, niska kobiecina wprost siła ciągnie je do siebie. Krótka narada. Idę z nimi.

Duże czyste podwórko. Siedzimy na ławce pod kolorowym murem. Kobieta poszła do mieszkania po pieniądze, przy okazji powie- dziła znajomym, że Polacy przyjechali i sprzedają. Wkrótce zostaliśmy otoczeni przez młode moskiewczanki z pobliskiego urzędu. Nasze dziewczęta po prostu troliły się. Wyciągały co tylko miały ze sobą.

Nim spostrzegliśmy się, w grupie nas otaczającej znalazł się młody mężczyzna. Energiczny. Kazał się nam wynosić do stu diabłów. Nie pomogły słowa kobiet. Zagroził, że zawezwie milicjanta.

Radzi nie radzi musieliśmy zwinąć manatki i uciekać niczym lisy. Tak. Przekonałiśmy się na własnej skórze, jaką markę mają w Moskwie Polacy turyści handlowi.

Niepocieszeni wracamy do hotelu. Oni sporo zarobili. Ja zebrałem trochę materiału do reportażu, lecz straciłem okazję obejrzenia „wystawki“. Janka pieszczą się, że „opyliła“ rozerwaną bluzkę.

W drodze na Krym handlowcy obliczali swoje pierwsze zyski. Somfitropol przy witał nas cudowną pogodą. Momentalnie wszystkim poprawiły się humory po kilkudziesięciogodzinnej jeździe pociągami.

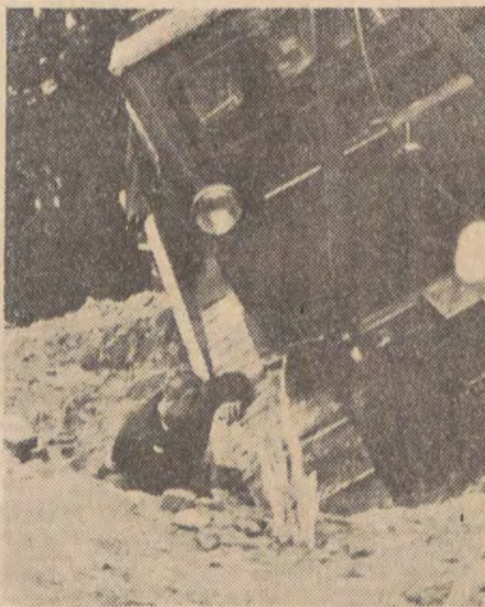
KRYM. Plaża, Palmy, Słonec... miejsce do doskonałego odpoczynku.

Nieprawda. I tutaj w czasie upalnych dni nasi handlowcy opylali resztki swoich zapasów. A mieli jeszcze ich dość sporo. W Gurzufie, gdzie zamieszkałiśmy, miałem możliwość zaobserwować nową metodę handlową stosowaną przy upłynianiu bubli. Przypuścimy, że ktoś chciał sprzedać bluzkę nylonową. Pakował ją tedy do kieszeni tak, żeby trochę wystawała. W ten sposób udekorowany szedł do miasta na rynek. Tam niby przypadekowa bluzka wypadła mu z kieszeni.

Podnosił ją rozkładając całą i wychylał kolegom jej zalety. Potem bluzka zwinęła wedrowała do klienta, a handlowiec chował ruble do swej kieszeni. Po kilku



str. 4  
odgłosy



Pod ciężarem spychacza zawaliły się stropy piwnic  
Fot. J. Grodziński



Dzikowo. Poszukiwania  
Fot. J. Grodziński

— 8 —

Bursztynowa komnata zniknęła w tajemniczy sposób. Jedyny człowiek, który mógłby wskazać miejsce jej ukrycia ginie w niecodziennych okolicznościach. Władze radzieckie powołują specjalną komisję do rewizji dzieł sztuki. Do dyspozycji komisji oddany zostaje cały sztab najlepszych radzieckich detektywów. Między innymi otrzymują oni zadanie odnalezienia bursztynowej komnaty. Poszukiwania trwają.

### Rozdział ósmy w którym dowiadujemy się o pierwszych wynikach śledztwa

Czy bursztynowa komnata została w Królewcu, czy też Niemcy zdążyli ją z tego miasta wywieźć? Rozwiązanie tej fascynującej zagadki stało się punktem wyjściowym dla dochodzenia. Prace śledcze rozpoczęte od zidentyfikowania osób, które miały jakikolwiek związek z królewieckim muzeum, a w szczególności z najważniejszym eksponatem tego muzeum — komnatą bursztynową. Listę osób ustalono na podstawie przejętych dokumentów i na podstawie zeznań jeńców niemieckich wziętych do niewoli w Królewcu.

General Laß, który bronił Królewca odmówił na ten temat wszelkich zeznań. Odmówił również i inni wyżsi oficerowie niemieccy, którzy — być może — wiedzą o miejscu ukrycia skarbu. Nie zdołał ich nakłonić do wyjawienia tajemnicy nawet — wzięty do niewoli pod Stalingradem — feldmarszałek Paulus. Natomiast szeregowi jeńcy potwierdzili fakt, że komnata ukryta została najprawdopodobniej w bunkrze pod małym kościółkiem na Steindammstrasse.

Tymczasem Królewec (teraz już Kaliningrad) szybko zmieniał swe oblicze. Znikali gruzi, budowano nowe domy, przebudowywano stare, zmieniała się architektura, a z nią i panorama miasta. Dawna Steindammstrasse otrzymała nazwę ulicy Zytomierskiej. Prof. Barsow, który pamiętał miasto z pierwszych dni, gdy ulice zawałone były zwalami gruzów, nie może sobie teraz przypomnieć punktu, który sugerował mu dr Rhode.

— Nie pamiętam — odpowiada na pytania członków komisji prowadzącej poszukiwania.

Na liście zidentyfikowanych osób, które mogłyby coś wiedzieć na temat zagadkowego zniknięcia komnaty znalazł się także dr Friese — główny konserwator królewieckiego zamku oraz niemiecki generał Kuchler. Ponadto ustalono prawdziwe nazwisko właściciela zamkowej restauracyjki „Blutgericht”. Nazwisko jego brzmi Feierband, Niestety,

dem do kraju, wysłaliśmy do miasto, by zaopatrzyć się w papierosy. Wracając do hotelu ulicą Kresczatik trzymaliśmy papierosy w ręku. W pewnej chwili podszło do nas dwóch studentów.

— Wy polskie turysty, da? — spytał jeden.

— Da.

— Wy imieście co na handel — niemiłosiernie łamał polszczyznę.

— Niet, my eko tolko turysty.

— On, eto komiwojażer — powiedział wskazując Leszka.

Idąc do hotelu śmiałyśmy się ze Zdzichem z naszego komiwojażera. Nieco później ubilem swoją pierwszą i jedyną transakcję zagraniczną. Sprzedałem skarpełki.

Za dwie godziny odjazd. Handlowcy rozpoczynają wędrowkę ludów po pokojach, gdzie mieszkają ko-

ledzy turyści. Proszą, by im coś przewieźć przez granicę. Obiecują złote góry. Ada wprost siłą wciska mi do ręki mały aparat fotograficzny. Maria chce, bym jej przewiózł kilka par kapronów i perfumy. Kiedy odmawiamy, udają obrażone. Obiecują postawić dużą wódkę i tam coś jeszcze. Jesteśmy nieugięci. Blisko Brześcia jeszcze raz próbują.

Stoiemy za elipsowatym stołem w komorze celnej. Handlowcy przebiegają z nogi na nogę. Marina zachowuje się podobnie jak trzy tygodnie temu. Celnik-kobieta podchodzi do niej. Na mały okrągły stolik wędrują kaprony, aparaty elektryczne. Innym handlowcom zabierają stabilizatory. Leszek przewiózł wszystko. Wiadomo, nie pierwszy raz przechodził odprawę celną w Brześciu. W Warszawie oddaje kuzynowi

mój dziennikarski rekwizyt. Jest zdziwiony.

— Jak to? Nie kupili? Tak! dobry i ładny garnitur? Mój kolega był niedawno w Kijowie. Gorszy sprzedał. Cóż, nie każdy ma talent do sprzedawania używanych garniturów. Wracamy do kraju bogatsi o nowe doświadczenia, jeśli chodzi o procedurę handlu zagranicznego.

\* \* \*

Nareszcie jestem w Łodzi. Pelen różnych wrażeń.

Pierwsze pytanie znajomych — co przywieźłeś z Rosji? Rozkładając bezradnie ręce, czuję iż wiele tracę w ich oczach. Nie pomagają wyjaśnienia, że celnicy wszystko zabrali w depozyt. Uważają, iż jestem fujara, ponieważ dałem się złapać. Trudno. Niech i tak będzie. Przychodzi mi do głowy stara jak świat smu-

— 9 —

dra Friese nie udało się odnaleźć, a generał odmówił wszelkich wyjaśnień. Rozmowa z Feierbandem też nie wniosła nic nowego. Pozostała więc tylko jedna szansa: odnaleźć kobietę, którą łączyła bliska więź z dr Rhode. Była nią niejaka Polina Arkadjewna Kulzenko, historyk sztuki, która pracowała razem z doktorem w królewieckim muzeum. Przypuszczalnie wiedziała ona o losach zaginionej komnaty. Rozpoczęto więc poszukiwania, na razie jednak bez żadnego rezultatu. Kulzenko, która w czasie wojny współpracowała z Niemcami, otrzymała wyrok za kolaborację, a po wyjściu z więzienia, zniknęła bez wieści.

### Rozdział dziewiąty w którym dowiadujemy się o akcji „Prasa” i operacji „Zielen”

Tajemnicą bursztynowej komnaty zainteresowali się dziennikarze i naukowcy niemal całej Europy. Pisano o niej w „Izwestii” i „Kaliningradzkiej Prawdzie”, w gazetach NRD i NRF oraz w prasie polskiej. Do komisji radzieckiej napłynęło szereg listów od osób, które z tą sprawą bezpośrednio lub choć pośrednio się zetknęły. Do Kaliningradu przyjechał dr Gerhard Strauss, przyjaciel Alfreda Rhode. Na apel berlińskich dzienników zgłosił się również — jak podaje Juliusz Grodziński z „Panoramy Północy” — młody Niemiec pod przybranym nazwiskiem Ringel. Ringel długi czas mieszkał w Kaliningradzie i dopiero pod koniec wojny wraz z matką stamtąd się wyprowadził. Po upadku miasta zjawił się jego ojciec, oficer SS. Chory na gruźlicę przed samą śmiercią prowadził z synem długie, szczere rozmowy. Opowiadał o swych wojennych czynach. Pewnego razu wspomniawszy o tym, jak przedarł się do Królewca w łodzi podwodnej i wykonał specjalną, tajną misję. Polegała ona na ukryciu jakichś bardzo ważnych skarbów muzealnych. Podczas tych długich rozmów ojca z synem padały często takie nazwy jak: Kneiphof, Königstrasse, Steindamm i inne. Stary Ringel zmarł w 1947 roku.

Po śmierci ojca, syn szperając w jego papierach, znalazł kopie rozkazów i meldunków. Cytując za Grodzińskim treść rozkazu i meldunku o wykonaniu operacji „Zielen”.

#### ROZKAZ

Wykonać operację „Zielen”. Salę bursztynową dostarczyć w znane miejsce B. Sch. Wejście zamaskować. W wypadku, gdy budynek

— 10 —

zachował się jeszcze, wysadzić go w powietrze. Ponoście za to pełną odpowiedzialność. Po przeprowadzeniu akcji udać się na przeznaczony punkt.

#### MELDUNEK

Rozkaz wykonano. Akcja komnaty bursztynowej skończona. Wejście zamaskowane. Wybuch dał rezultat. Dużo „śladów” działalności przeciwnika. Wracam do punktu.

### Rozdział dziesiąty w którym dowiadujemy się, że ślady prowadzą do Polski

Niestrudzony szperacz i dociekliwy reporter „Kaliningradzkiej Prawdy” — Dmitriew — odnajduje korespondencję Rhodego. Oto cytuję fragmenty listów, które przedrukował „Głos Olsztyński”.

Wielmożny Panie Hrabio. Mam zamiar w przyszłą niedzielę przyjechać na jeden dzień do Dzikowa, żeby obejrzeć pomieszczenia przeznaczone dla przechowywania naszych obrazów. Czy zdążę to uczynić w ciągu jednego dnia? Czy mogę skorzystać z pociągu 9-33. Jak tylko otrzymam od Pana wiadomość, zakumuluje, kiedy przyjadę.

...nie mam możliwości troszczyć się o rzeczy przewiezione do Dzikowa, ale mam nadzieję, że wszystko jest w porządku...?”

Pałac w Dzikowie był niewątpliwie bezpieczną kryjówką dla skarbów. Oddalony od głównych tras komunikacyjnych, położony w malowniczej okolicy, w tym niespokojnym czasie wojny doskonale nadawał się do tego rodzaju przedsięwzięcia.

Rodzina pruskich junkrów Schwerinów znana od 1178 r., zamożna, otoczona szacunkiem i czcią, dawała pełną gwarancję zabezpieczenia bezcennych dzieł. W XIX wieku majorat dzikowski wraz z miastem Górówem Ilawieckim wynosił 5 tys. ha. Ostatni ze Schwerinów — Otto, nie był wprawdzie dość zrównoważony. Sławny kobieciarz, niechluj, pijak wysłany do oddziału karnego w ostatnich tygodniach wojny, raniony pod Ciechanowem, zaginął bez wieści. Krążyły nawet plotki, że zwiariował, zapuścił sobie długą brodę i włosy sięgające za kark. Na miejscu pozostała jednak jego żona, która sprawnie i energicznie zarządzała pałacem. Kiedy zbliżyła się wojska radzieckie, Schwerinowa uciekla w głąb Rzeszy. Butna Niemka nie wzięła z sobą żadnych bagaży, wierząc uparcie, że po wojnie wróci do swego majątku.

Co kryły w sobie lochy dzikowskiego pałacu? Odpowiedź w następnym numerze.



powtórzeniach tej próby, sztuka nie udawała się.

Na Krymie Marina była w swoim żywiole. Codziennie po śniadaniu wychodziła do miasta z wyładowaną torbą. Ponoć handlowała z kuracjami miejscowego sanatorium. Osobiście nie widziałem jej nigdy na plaży.

Zastanawiałem się — Czy nie znając każdego z osobna zdołałbym odróżnić turystę od handlowca? Po czym?

Odróżniłbym. Primo: chodzili z wyładowanymi torbami. Secundo: nie korzystali z dobrodziejstw słońca, więc byli nie opaleni. Tertio: żeby zwrócić na siebie uwagę, zachowywali się zbyt hałaśliwie.

Ostatni cel naszej wyprawy — Kijów.

Pewien gruziński student ochrzczył tu Leszka mianem komiwojażera. Na kilka godzin przed wyjaz-

Zrobił zdumioną minę. Poszedł sprawdzać dalsze bagaże. Lwła część uczestników wycieczek zagranicznych, to faceci (facetki) nastawieni (one) na tzw. kontakty zagraniczne, czyli mówiąc po prostu nastawieni na handelek.

Co zrobić, by zmienić powstałą sytuację, by Marin, Leszków i wielu im podobnych ludzi przynoszących ujemny polskiemu turyście, było coraz mniej?

Trzeba chyba, aby klerownictwo turyistyczne wycieczek większą uwagę zwracało na turystów z... bagażem.

MICHAŁ ZEGAROWSKI

odgłosy str. 5

## Kultura á la minute

Na artykuły Cepelli wytworzyła się już moda, nie tylko w stolicy, Łodzi, czy innych miastach wojewódzkich, ale na najdalej nawet prowincji. Słowo „artystyczny” budzi zawsze zrozumiałe dreszczyk emocji w nas, Polakach, skoro co dwudziesty człowiek pisze wiersze, co piąty maluje, a jeśli nie maluje, to na pewno gra na trąbce. Dlatego się nie dziwię, że ten sam szalik, kupiony w MHD i Cepelli, w pierwszym wypadku wzbudzi współczucie dla złego smaku nabywcy, a w drugim powszechną zazdrość. Mogłoby się więc wydawać, że instytucja, która znalazła tak powszechne uznanie społeczne, musi mieć proporcjonalnie do niego, a może większe, zasługi na polu upowszechnienia kultury, czy może raczej oobrego smaku. Tym bardziej że w swoich założeniach ma spełniać po trosze postulaty uniwersytetu, Władysława Strzebińskiego. Nie można przecież nazwać maczej żądania, aby zestawienia form i kolorów w kompozycjach malarskich i rzeźbiarskich weszły na stałe w życie codzienne szarego człowieka. A według Strzebińskiego miało się to stać za pomocą powielania tych form w przedmiotach codziennego użytku.

Ze z tymi przedmiotami użytku nie jest najlepiej, nie trzeba powtarzać. Ale jeśli pominąć westchnieniem sprawę technicznej jakości, a zająć się tylko formą przedmiotów, czystą formą plastyczną, harmoniami w zestawieniu kolorów i kształtów, to co? Czyba i tu nie może obejmować się bez westchnień, choć nie wolno przesadzając, pod względem smaku na co dzień stoimy lepiej choćby od Niemców, a przecież oni to Europa. I na pewno nie miała w tym zasługa Cepelli, choć gust narodowy ma tu co najmniej tyle samo do powiedzenia. Ale sprawa wcale nie jest taka prosta, u nas w Łodzi choćby występują trzy wzorce kultury plastycznej na co dzień i związane z nimi trzy sektory odbiorców.

Wier najpierw bazar. Ten dominuje w kręgu ludzi na dorobku, którzy nie czytają „Przekroju”, a którzy kupują szafę, stół, łóżko czy komódę. Ci ludzie spóstrzegają nagłe, że dom, który im dotąd wystarczał, ma puste ściany. Te puste ściany zaczynają wzić, na komo-dzie staje więc wierny stróż domu, pies gipsowy, a na ścianie powieszają jelenia w złoconych ramach. Odbiorcy najprymitywniejsi szukają pierwszych atrybutów sztuki: cieszy ich gładkość, wielkość, ilość ornamentów i złocen. Ilość przechodzi w jakość. Ale nie ludźmy się, że od razu dochodzi do tej pierwszej inwestycji kulturalnej. Transakcja następuje po wielu naradach w kręgu najbliższych, a pies na komo-dzie zostaje podpatrzony u wyżej w randzie społecznej stojących sąsiadów. Przy tym forma sprzedazy na bazarze odpowiada najbardziej psychice kupującego. Nikt nie czuje się oszukany, bowiem w gips można popukać, a złoto poskrobać. Handlarze obrazami, odpustowi sprzedawcy kogucików i psów znają najlepiej społeczne zamówienie rynku. I oni zaspakajają wymagania nabywcy, który chce, aby pies, kogut, i jeleni zwracały przede wszystkim powszechną uwagę. Autor jest nieważny, anonimowy, ale solidny, nikt się nie oszuka, można wybrać, przebrać. W tej tarasowskiej sztuce nie ma żadnego kierunku: tu sprzedawca podporządkował się całkowicie kupującemu — mój klient mój pan, a rzeczy nazywa się po imieniu, to jest pies gipsowy, taki duży pies, to jest piękna rzecz, ale to rzecz. A udogodnienia przy tym

najdalej idące — sztuka jest oferowana na ulicy, nie ma dystansu między twórcą a odbiorcą.

Na pewnym szczeblu z bazarem zaczyna konkurować prywatny sklepik z upominkami i pamiątkami. Tu gips zastępuje porcelana i stopy metali, formy są już znacznie bogatsze a ceny wyśrubowane. Wystawy tych sklepików, których wiele w śródmieściu, stanowią sanktuarium najgorszych gustów i smaków, a przy tym manierują nabywcę. Towary są przede wszystkim zagranicznego pochodzenia, mniejsze i dyskretniejsze od bazarowych. Sprzedawca ma czyste ręce, mówi językiem zbliżonym do inteligentkiego i posiada dar przekonywania ludzi. Oto najszlachetniejsza forma naciągania,

bywców nie jest łatwo nawet wśród tych, którzy czytają „Przekrój”. Ale przecież nabywcy się znajdują i, jak powiedziałem, na towary Cepelli wytworzyła się już swoista moda. Cepelia oferuje bowiem asortyment nieporównanie szerszy: od szalika do stolika. A między nimi znajduje się jeszcze miejsce na obraz, rzeźbę, narzutę ludową, nakrapiankę i wycinankę. Towar do sklepów dobiegany jest znacznie staranniej, a jeśli się już tam znajduje, nie ma żadnych improwizacji, to było dobre w romanizmie, kupujący może mu się przyjrzeć i dostanie paragon z stemplem. A i na towarze często znajduje się nie budzący wątpliwości znaczek firmowy: Cepelia. Czyli, że dzieło sztuki za tę sto, czy dwieście złotych.

A jeśli się nie znajdzie, to co? Właśnie to, że Cepelia tylko niektóre towary bierze na swoje konto, a inne, sprzedawane w tym sa-

nie zawsze ma wiele wspólnego z przemysłem ludowym i artystycznym. Nie ludźmy się zresztą, to nie dzięki niej twórcy ludowi, różne Prusowe Antki, których i dzisiaj wielu po wsiach, znajdują środki egzystencji i uznanie społeczne. Cepelia daje utrzymanie chałupnikom, rzemieślnikom i członkom ZPAP. I to nie wszystkim, ale po długich staraniach, nie ludźmy się, że jej inspektorzy jeżdżą po wsiach i proponują subwencje artystom — samoukom, temu krzyżaczemu sumieniu artystycznemu narodu. Cepelia jest przede wszystkim spółdzielnią, ma cztery sklepy w Łodzi i jeden w Kutnie, ma też wiele planów, pragnie otworzyć takie sklepy jeszcze w Wieluniu, Tomaszowie, Sieradzu czy innym Pajęcznie. I nie przesadzajmy, nie wszystko co robi, jest złe. Dała nam poczekalnie umeblowane według wzoru, kawiarnie, dała nam talerze, wycinanki łowickie i takież narzuty i to się chwali. Konkuruje z bazarem i prywatnymi, świetnie. Udziela porad jak urządzić wnętrza mieszkań, bardzo dobrze. Ubiera zespół „Mazowsze”, powiedzmy, że dobrze. Może się nawet pochwalić kilku autentycznymi twórcami ludowymi jak ten siedemdziesięcioletni rzeźbiarz Kamieński i garncarz-ceramik Pastuszkiewicz, brawo.

Ale obok tej pozytywnej działalności często wypycha nam pseudo-sztukę, pseudo-ludową, często rzeczy, które ze sztuką nie mają nic wspólnego. Dzięki tej działalności znajdują łatwe i niezłe utrzymanie beztalentni, często nawet członkowie ZPAP przemienieni w chałupników i producentów tandety. I te właśnie rzeczy wypierają autentyczną sztukę ludową na rynku, i twórcy ludowi, różni świątkarze czy garncarze pozostają nadal w cieniu.

Za to wytworza się swoisty typ odbiorcy, współczesnego mieszczanina, któremu nie odpowiadają nawet kształty przedmiotów oferowane przez Cepelię, ale jest wychowany na „Przekroju” i „Przekroju” — posłuszny bez zastrzeżeń. Który marzy o powrocie do form bazarowo-importowych. W ten sposób idea sztuki masowej dla masowego odbiorcy nie znajduje realizacji w życiu. Ja rozumiem, że sprawa nie jest taka prosta, że Cepelia boryka się z trudnościami asortymentowymi i lokalowymi, że przedmiot sztuki, nawet najdrobniejszy, wymaga, aby go pokazać, wymaga galerii, nie sklepu. I z przyjemnością obserwuję wszystkie sukcesy Cepelli. Ale chodzi przecież o coś więcej. Oto, aby najmniejsze laleczki świata nie reprezentowały za granicą naszej sztuki ludowej, żeby jako dzieła sztuki nie prezentować maskotek. Tu wspomnę mego znajomego, który wiecznie powtarza: sztuka, proszę pana, to powinna być czysta jak ten gipsowy piesek choćby, co pcheł i parchu nie przyniesie, za suzką nie poleci, człowiek wie, co bierze do domu.

KONRAD FREJDLICH

## RZECZ



Fot. G. Puclato

## O czystości sztuki

naciągania na przedmioty sztuki. Na nabywcy, który wszedł do sklepu, żeby się tym cudem trochę przyrządzić, tym gorylom i panom, palmom i krokodylom, właściciel musi robić wrażenie co najmniej impresaria. I do transakcji najczęściej też dochodzi, sztukę trzeba popierać.

W zestawieniu z bazarem te sklepiki wyrządzają zło o wiele gorsze. Tam sprzedawca nie wynosił się nad nabywcę, owszem, doradził to i owo, ale przy zachowaniu jak najdalej idącej równości, tu jest blichtr i tandeta. Tu właściciel uważa się niejako za mecenas sztuki. Przy tym zagraniczny manieryzm pozostawia ślady daleko głębsze niż produkcja swojska, porcelana to nie gips i zawsze trochę szkoda ją wyrzucać.

Po tych sektorach nie za wiele miejsca zostaje już na wyroby Cepelli, znaleźć na-

mym sklepie, znaczka firmowego nie mają. Co prawda jedno i drugie zatwierdza ta sama Komisja Oceny Artystycznych, ale czy w tym drugim przypadku nie patrzy nieco przez palce? W wielu wypadkach zdeformowane figurki przypominają bardziej psa odpustowego niż rzeźbę Moora, taki w nich rodzimy atawizm. Aż by się chciało powiedzieć: pójdź figurko, ja ci powiem, kto twym ojcem. Albo te małe obrazeczki, nie wiem po ile, bo cena była skromnie ukryta, tak bardzo w fiolecie przypominające wodopoje jeleni. Albo karty pocztowe, albo notesy, kasetki, nie wiadomo co jeszcze, asortyment jest tak szeroki, że musiałbym robić cały katalog.

Proszę mnie źle nie rozumieć, ja nie potępiam produkcji Cepelli jako takiej, uważam tylko, że to, co można kupić w jej sklepach



Fot. G. Puclato

LEOPOLD BECK

## Kameralny „Juliusz Cezar” w Teatrze Nowym

Oglądaliśmy kameralnego „Juliusza Cezara”.

W tym przypadku kameralność polega na wykluczeniu z dramatu tłumy, co oznacza zmniejszenie roli rzymskiego ludu w rozgrywce o władzę. W inscenizacji Teatru Nowego tłum Rzymian jest niewidoczny, istnieje tylko jako akustyczne tło, na którym wybitne jednostki grają swoją rolę, jedynie decydująca o przebiegu dziejów. Taką właśnie interpretację cezarysty odbiera widz, (mimo iż nie był to zamiar inscenizatora), więc sprzeczną z nowoczesną historiozofią i fałszywą chyba również z punktu widzenia tzw. obiektywnej nauki o czasach Cezara. Do sztuki zdobyła władzy i jej utrwalenia należała bowiem również umiejętność zdobycia łaski i poparcia ludu rzymskiego, potencjalnej i często faktycznej sily uderzeniowej podczas walk o władzę.

Tęgo zdania był Szekspir. Wynika to niewątpliwie np. z mowy Marka Antoniusza (Mieczysław Voit) do Rzymian nad zwłokami Cezara (Seweryn Butrym), mowy, która jest wirtuozerką grą na namietnościach motłochu w celu pozyskania go. Ale tłum istnieje w Teatrze Nowym tylko jako swój własny akustyczny cień, jako drugorzędne tło dźwiękowe. Ten brak tłumy lub — jeśli kto woli — jego degradacja jest jeszcze bardziej zadziwiająca wobec faktu, że inscenizator posiada, jak wiadomo z innych sztuk, wielką umiejętność prowadzenia tłumów na scenie.

A może ktoś wyczyta u Szekspira niedocentanie roli tłumy? Np. w kwiecistych Flawiusza (Konrad Łaszczyński) i Marullusa (Marian Nowicki), z okazji spotkania z dwoma obywatelami (Akt I, scena II)? Owszem, Szekspir każe im gardzić motłochem, ale zapewne tylko z tego powodu, by już w ekspozycji podkreślić względne osamotnienie konspiratorów i ich potencjonalnych sympatyków. Według założenia Szekspira usłują oni dopiero później, po zamachu na Cezara, uzyskać aprobatę ulicy rzymskiej.

Nie jest więc zgodne z prawdą artystyczną, o którą w obecnych czasach chodzi, to że przedstawiciele tłumy, ów pierwszy i drugi obywatel (Stanisław Kamiński, Zygmunt Zintel) grani są jako postacie komiczne w niedźnych (wbrew tekstowi) lachach, jako dwupiętrowe rękawce uliczne. Tymczasem są oni przewodnikami tłumy, i powinni świadomi swej liczebnej potęgi — a rzecz w tym że nie ma jej na scenie — kpić z Flawiusza i Marullusa w żywe oczy. zgodnie z tekstem. Degradacja tłumy jest więc bardzo konsekwentna i nie ogranicza się bynajmniej do zastąpienia go akustycznym cieniem, który może w zamyśle realizatora miał być cieniem olbrzyma.

Ale to nie wyszło. Zamazanie czasu i miejsca — nie całego dramatu, ale poszczególnych scen — jest obojętnością, nie wywołującą sprzeciwu sprawozdawcy — chociaż nie widać różnicy między dnem a nocą, ponieważ są one ukazane w jednym kolorze świetlnym. I nie wiadomo, kiedy się miejsce akcji zmieniło — czy znajdujemy się jeszcze na ulicy w Rzymie, czy już na polu bitwy — zawsze jesteśmy na schodach.

Zasadniczą część sceny, proz waskiego pasa, zajmują schody — wynalazek scenograficzny kilkadziesiąt lat temu bardzo wychwalany, ponieważ inscenizator zyskiwał jakby przezeń jeszcze jeden wymiar dla ruchu (poza ruchem wzdłuż i w głąb sceny dysponował teraz dodatkowym — z góry na dół). To i nie usprawiedliwienie takiej scenografii. Są i jeszcze inne: dwupoziomowość oryginalnej sceny szekspirowskiej, oraz to, że schodowa konstrukcja najbardziej odpowiada naszym wyobrażeniom o miejscach akcji w starożytnym Rzymie, tym bardziej że podtrzymują je nasze wyobrażenia fragmenty dwóch antycznych filarów. Ale w poszukiwaniu Szekspira

można na tych schodach zblądzić. Bądźmy jednak skramni i nie wymagajmy od realizatorów zbyt wielkich koncepcji na rzecz autora.

Jakiś srebrny polip, zamykający scenę w głębi (a zdradzający już na pierwszy rzut oka swoje poulatnowskie pochodzenie) jest — czy ja wiem — chyba uogólnieniem tego, co być powinno, a czego nie ma — by się tak z największą możliwą ścisłością wyrazić. Reżyser akceptował owe tło sceniczne prawdopodobnie tylko dlatego, że nie przeszkadza ono koncepcji kameralnego „Juliusza Cezara”, polegającej na rezygnacji z marginalnych dramaturgicznych i scenograficznych w celu uwydatnienia istoty tragedii — katastrofy jednowładztwa i bratobójczej walki o nową władzę.

Względna — w porównaniu z prawdziwymi rozmiarami tragedii — kameralność uzyskano również przez skrócenie niektórych osób dramatu lub fragmentów scen, na przykład fragmentu sceny drugiej. A istotność tego jest dość problematyczna. Bo właśnie ze skróceniem części sceny dowiedzieć się można o bezpłodności żony szekspirowskiego z synem Cezara, Kalpurnii (Barbara Rachwałska). Czy tu nie wyznaczono klucza do zrozumienia ojeowości uczuć Cezara dla Brutusa i Marka Antoniusza jako do synów „zastępczych”? (Zwracam uwagę, że to jeszcze nie freudyzm...)

Czy względna kameralność widowiska jest słuszną koncepcją (uchodzi ona za nowoczesną), czy należało by się pokusić raczej o monumentalnego „Juliusza Cezara”, o widowisko stratfordkie na miarę antycznej tragedii, z tłumem w jednej z głównych ról? Tej sprawy nie może rozstrzygnąć sprawozdawca. Ale nad czym wolno mi ubolewać, to nad tym, że nie słyszy w „Juliuszu Cezarze” tekstu Szekspira, lecz Zofię Siwkieję.

Oto wróbiła (Józef Płanicki) wychodzący z (nieistniejącego) tłumy ostrzegając Cezara: „Strzeż się marcowych idów!” Cezar kwitując ten epizod słowami: „Jakiś marzydzieł! Zostawmy go! Chodźmy!” Nawet najbardziej przekorni stylści nie przekonają nikogo, że słowa te są adekwatne do sytuacji i do tego, co myśli Juliusz Cezar, a myśli on: „Jakiś fantast! Zostawmy go!” Bo przecież i widz już to wie, wróbiła nie marzy o mordzie Cezara, lecz ostrzega go przed nieszczęściem. Ba, gdyby aktorzy mogli mówić Szekspira.

Tłumaczenie z Szekspira, to przedświadczenie poetyckie, a nie rzemieślnicze. Ale w tym, o którym mowa, jest tyle schodów, iż dźwięk bierze, że żaden aktor z nich nie spada, a zdumienie, jak ten tekst mówi Mieczysław Voit, choć poza tym nie jest on (przynajmniej dla sprawozdawcy) idealnym Markiem Antoniuszem — jak na zimnego gracza za wiele w nim że złotego młodzieńca. Ale o to można by się spierać przez całe życie. Jest chyba winą oraku szekspirowskiego tekstu, że sprawozdawca nie mógł uwierzyć, iż Seweryn Butrym został zaliczony w poczet bohaterów. Tak samo jak trudno przyjąć założenie, że to, co robi Brutus jest konspiracją a nie deklamacją. Za to Kaska (Ludwik Benoit) zapisuje się swoją prostotą i wyrazistością jak najdotkliwiej w pamięci widza.

Oglądałem więc kameralnego, czarno-białego nie tylko w scenografii, Juliusza Cezara”. A wole monumentalnego. Dlatego też nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest on tylko interesującym przedstawieniem Teatru Nowego, czy też najlepszym dotychczas szekspirowskim spektaklem w Łodzi.

William Szekspir „Juliusz Cezar”, dramat w 5 aktach, przekład: Zofia Siwkieja. Inszenizacja i reżyseria: Kazimierz Dejmek, scenografia: Iwona Zaborowska, Henri Poulain.

**Dokończenie  
ze str. 1**

cja przemysłowa, a przyciągnęły do Łodzi dogodne warunki osadnicze i perspektywy lepszej przyszłości.

Po Nowym Mieście i Osadzie Łódce przyszły dalsze osady jak Nowa Łódka, Ślązaki, Nowa Dzielnica, Posiadła Wodno-Fabryczna itd. W roku 1840 Łódź, rozumiana jako zespół wyżej wymienionych osad i dzielnic, liczyła już ponad 20.000 mieszkańców, a obszar jej powiększył się z 828 ha dawnej starej Łodzi do 2.739 hektarów, pozostając w tych granicach aż do 1908 r.

Początkowo, powstające nowe osady stanowiły organizmy w pewnym sensie niezależne, można rzec nawet o antagonistycznych ambicjach i interesach, tak że wspólne wybory do Łódzkiej Rady Miejskiej udało się dopiero pomyślnie przeprowadzić w 1861 r.

Tereny pierwszych dwóch wymienionych osad Nowego Miasta i Łódki stały się w biegu lat kanwą, na której i wokół której wyrosła część miasta, określana obecnie jako „Śródmieście” i pokrywająca się w zasadniczych kształtach z utworzoną w 1900 r. Śródmiejską dzielnicą administracyjną.

**„Krystalizowanie się”  
śródmieścia**

Wraz z przechodzeniem rękodzielniczej wytwórczości włókienniczej na produkcję przemysłową, a więc około



połowy ubiegłego stulecia rozpoczyna się proces scalania się luźnych części organizmu miejskiego.

Podstawowym elementem tego procesu była wynikająca z funkcji komunikacyjnych dominująca rola ulicy Piotrkowskiej — arterii łączącej ze sobą stare, nowsze i nowe części miasta.

Gwałtowny rozwój przemysłu, pociągający za sobą błyskawiczny wzrost ludności

ci tej wielkiej osady robotniczej w latach osiemnastowiecznych (w 1890 r. już ponad 125.000 ludności) ścigał do Łodzi obok rzeszy pracowników fizycznych liczne zastępy różnego typu pracowników umysłowych, których bardziej wygórowane potrzeby życiowe musiały znaleźć odpowiednie zaspokojenie. W grę wchodziły tu zarówno potrzeby mieszkań o wyższym standardzie i wszelkiego typu usług handlowych, kulturalnych i rozrywkowych.

Na gruncie tych rozwijających się potrzeb najdogodniej, centralnie usytuowana ulica Piotrkowska i sąsiadujące z nią ulice nabierały nowych, już wielkomiejskich funkcji. Nie znaczy to, że dalsze części Łodzi nie miały swoich lokalnych centrów usługowych, jak np. Nowomiejska i Stary Rynek dla części staromiejskiej, Górny Rynek (Plac Reymonta) i przyległe ulice dla części południowej, czy Wodny Rynek z częścią ulicy Głównej dla wschodnich części miasta. Jednak już w dziewiętnastym wieku, a także w okresie międzywojennym, wyposażenie i usług i centrum śródmiejskiego przewyższały periferijne centra bogatszym asortymentem i wyższą jakością wszelkiego typu usług.

Należy dodać, że dominującą rolę centrum śródmiejskiego wzmacniało lokowanie przy Piotrkowskiej i ulicach sąsiednich zarządów fabryk łódzkich, a nawet pozalódzkich, instytucji finansowych, przemysłowych i handlowych, składów hurtowych, wreszcie powstających instytucji oświatowych i kulturalnych jak szkoły, teatry, biblioteki, później muzea i kina.

Obok tego, w dogodniejszych warunkach mieszka-

niowych, koncentrowały się na terenie śródmieścia wysokokwalifikowane kadry inteligencji jak lekarze, adwokaci, inżynierowie — obok kupców, wyższych urzędników i części przemysłowców.

**Czy dziś inaczej?**

Na pytanie postawione w powyższym podtytule można odpowiedzieć i przecząco i



Śródmieście centrum „od frontu”

twierdząco. Przecząco, między innymi, dlatego, że w latach powojennych znacznie zmalała funkcja dawnych lokalnych periferijnych centrów usługowych. Poza nielicznymi wyjątkami asortyment i jakość usług (szczególnie handlowych) nie są takie same jak w centrum. Dlaczego tak się stało? Aby odpowiedzieć na to pytanie należałoby sięgnąć i do „grzechów niedawnej przeszłości” i „tajników” poniesionych administracyjnych w tym zakresie. (Trzeba jednak dodać sprawiedliwie, że

Mimo to jednak mało przesadne będzie twierdzenie, że Śródmieście — to dość duże, bo liczące około 260.000 mieszkańców miasteczko. Miasteczko uprzywilejowane w stosunku do otaczających go terenów pod wieloma względami, z drugiej strony stanowiące niejako syntetyczny fragment całej Łodzi. Wszystko tu jest: reprezentacja wszystkich społeczno-zawodowych kategorii mieszkańców, mieszkalnictwo, usługi, przemysł. Wystarczy np. wejść w jedno podwórko kamie-

mieście, a właściwie śródmiejskie centrum musi mieć każde miasto. Chodzi tylko o to, aby nie przeciągać tej części miasta funkcjami, które powinny posiadać dzielnice obrzeżne, aby szczególnie w zakresie codziennych potrzeb życiowych zbliżyć przestrzennie usługi do odbiorców. I to usługi zarówno gospodarcze jak i kulturalne i oświatowe. Śródmieście poza „codziennymi” usługami dla potrzeb własnych mieszkańców winno mieć usługi wyspecjalizowane, z których nie ko-



nia ważną rolę dla całości miasta. Mamy i w Łodzi centralnie położony wieżowiec — Ja'ra on spełnia dla miasta i jego mieszkańców funkcję? Telewizja mogłaby mieć się i dalej od centrum, a koncentracja w tak okazałym gmachu wyspecjalizowanych urzędów, być może w śródmieściu słuszną, przeciwnego mieszkańca „ani ziębi, ani grzeje”. A może to mogłby być łódzki Pałac Kultury i Nauki? Na nadmiar tego typu instytucji nie cierpimy, a okazały wieżowiec mogłby przy nadaniu mu odpowiednich funkcji stać się wspólną własnością całego miasta.

Wiadomo, że uniknąć pomyłek można tylko wtedy, jeśli nic się nie robi. Wiadomo ponadto, że rozpatrywanie błędów i pomyłek dostarcza wskazań jak ich uniknąć na przyszłość. Krótka i burzliwa historia rozwoju Łodzi dostarcza aż nadto materiałów do tego typu „kształcących” rozważań. Mamy nadzieję, że urbanisci łódzcy wyciągnęli i nadal wyciągną z tej historycznej lekcji właściwe wnioski, dopomagające racjonalnemu kształtowaniu tutejszej, lepszej Łodzi.

# ŚRÓDMIEŚCIE

nicy leżącej na działce między ul. Piotrkowską a ul. Sienkiewicza, aby naoznie przekonać się, ile funkcji i zadań spełnia centrum miasta, podczas gdy na pozostałych obszarach występują one w rozproszeniu.

**Jak być powinno?**

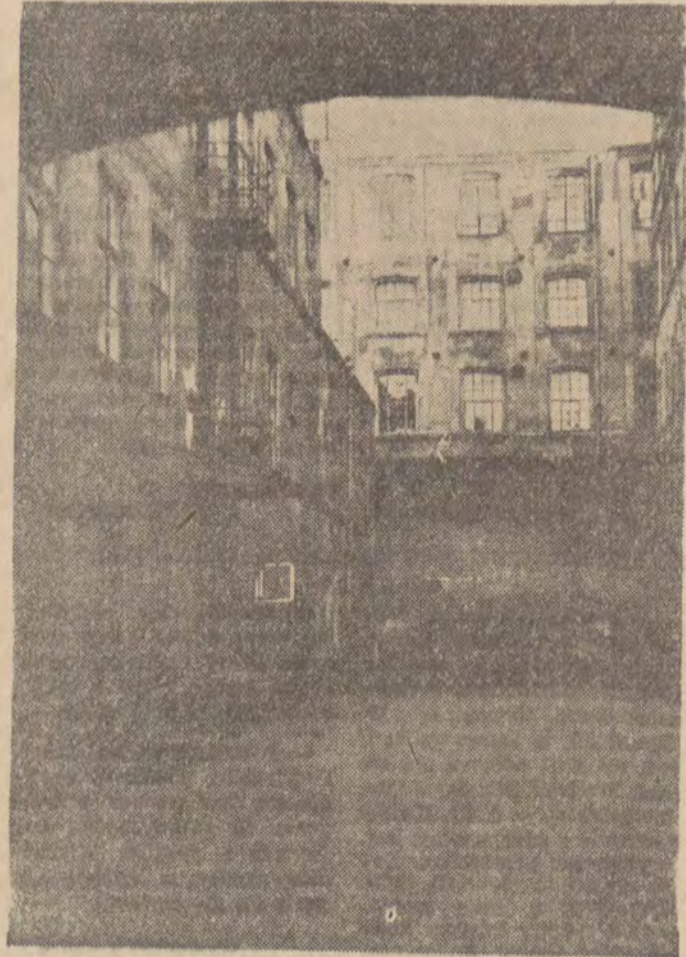
Złą, jak to się mówi, zrobiłbym robotę, gdyby czytelnik po przeczytaniu tych niepełnych uwag i refleksji doszedł do wniosku, że miasto nie powinno mieć dzielnic śródmiejskiej, spełniającej inne, odrębne od innych dzielnic funkcje. Śród-

zysła się na codzień, a które ze względu na specyfikę muszą być ulokowane centralnie, aby dostępnymi dla nich mógł mieć każdy mieszkaniec miasta. Chodzi ponadto o to, aby nie lokalizować w śródmiejskim centrum obiektów, które dla całości miasta nie posiadają znaczenia.

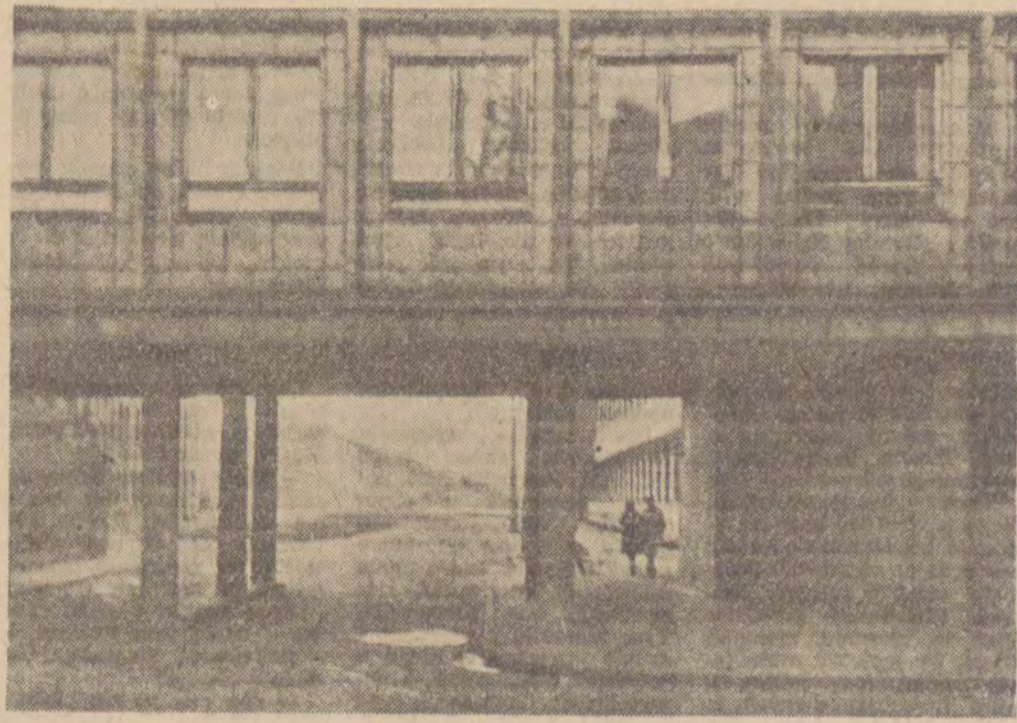
Przykład: Warszawa ma swój wieżowiec — Pałac Kultury i Nauki. Gmach ten ulokowany centralnie poprzez „gromadzone” w nim funkcje naukowe, oświatowe i kulturalno-artystyczne speł-

ostatnio chyba w tych sprawach nastąpił zwrot ku lepszemu).

Poza tym chyba jeszcze niewiele się zmieniło. Nowe instytucje i funkcje miastotwórcze, jakie przyszły po wojnie, też przeważnie znalazły lokalizację na terenie śródmieścia. Wysokokwalifikowana inteligencja nadal mieszka przede wszystkim w śródmieściu, mimo że od kilku lat rozpoczął się proces dekoncentracji przestrzennej tych kategorii mieszkańców ze względu na powstające periferijne w stosunku do śródmieścia nowe osiedla mieszkaniowe,



Śródmieście centrum „od podwórka”



**TEKST  
i ZDJĘCIA  
w AŁAW  
PIOTROWSKI**

# Rozmowa z jugosłowiańskim pisarzem



Marijan Matković

Niedawno bawił w Łodzi wybitny pisarz i dramaturg jugosłowiański, świetny znawca teatru i filmu, pan Marijan Matković z Zagrzebia. Nasz gość przebywał w Polsce na zaproszenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Skorzystałem z milej okazji, by porozmawiać o różnych sprawach dotyczących literatury i sztuki. Oto kilka pytań i odpowiedzi, które skrupulatnie przekazuje.

Czytelnik polski stosunkowo mało zna współczesną literaturę jugosłowiańską, szczególnie słabo orientuje się w twórczości pisarzy młodszego pokolenia. Co jest, według pańskiego zdania, główną przyczyną takiej sytuacji, i jakie utwory mogłyby nas zainteresować?

— Podobnie jugosłowiański czytelnik ma bardzo mgliste wyobrażenie o najnowszej literaturze polskiej. Może zawiązując pewnym tłumaczom, a przede wszystkim Juliuszowi Benesziowi (za zasługi położone na tym polu otrzymał krótko przed śmiercią nagrodę polskiego Pen Clubu — S.K.) nasz czytelnik zna lepiej starszą literaturę polską, w każdym razie różnice w zakresie wzajemnej znajomości naszych kultur są raczej minimalne.

Będąc w Polsce kartkowałem Waszą najnowszą Encyklopedię Powszechną i stwierdziłem, że dla autorów tego dzieła „najmłodszymi” pisarzami jugosłowiańskimi są Andrić i Krleža, a przecież obaj są klasykami naszej literatury, obaj mają za sobą po 70 twórczych wiosen. Jakże więc można wymagać, aby przeciętny polski czytelnik lepiej się orientował w naszym współczesnym życiu literackim niż autor tych haseł w Encyklopedii? Wielu bardzo interesujących pisarzy jugosłowiańskich, poetów, dramaturgów, eseistów i krytyków jest zupełnie w Polsce nieznanymi (bez względu na to, czy się czasem w Polsce ich przekłada czy też nie), a poza Njegošem, poetą i księdzem czarnogórskim z połowy XIX wieku nie widziałem ani jednego naszego nazwiska na wityrach księgarskich. Warszawa, Kraków, Nowe Huty i Łódź. A wiem ze statystyki, iż w ostatnim czasie ukazały się w Polsce przekłady z naszej powojennej literatury.

Gdyby ta nieznajomość obciążała jedną stronę, problem ten dałoby się łatwiej rozwiązać. Tymczasem nieznajomość jest obustronna i stąd niepokój. Najwyższy czas, aby nasze wzajemne kontakty kulturalne, które w ostatnich latach osiągnęły już imponujące rozmiary liczebne, nie miały wyłącznie charakteru turystycznego, lecz by się stały czynnikiem twórczym.

— Bardzo mnie interesuje pańskie zdanie o polskim teatrze. Pan jest przecież człowiekiem teatru?

— Poza teatrem radzieckim, znam obecnie, dzięki

Dalszy ciąg ze str. 1

za pomocą witaminy H<sub>3</sub>.

Zajęła się tym gerontologia, interesująca się starością. Geriatria natomiast zajęła się leczeniem objawów i chorób starości.

W gabinecie lekarskim jasrawe światła. To ekipa telewizyjna. Szumi aparat filmowy. Jeden z pracowników przerywa zajęcia i ustawia pielęgniarke, każe jej inaczey „fotogenicznie” trzymać ampulkę. Ale telewizja ma swoje racje, a fachowa pracownica swoje: „Przecież w ten sposób nie będę mogła odpilować ampulki” — mówi. TV gości w Sanatorium już trzeci dzień i filmuje, aby pokazać „Dzień Geriatryczny” 31 paźdź., a całość zagadnienia w „Europe” pod koniec listopada (21 lub 28).

Trzeba być bardzo ostrożnym, aby nie ulec działaniu mitów. Tego zdania jest dr Snarski. Z powodu prasy, która zabrała głos w nieodpowiednim czasie, jest nieco kłopotu z pismami i ludźmi, domagającymi się „odmładzających zastrzyków”. Poruszyła tę sprawę reporterka „Służby Zdrowia”, pisma docierającego tylko do pracowników lecznictwa, nie słyty mało czytane przez ogół ludności.

Również prof. Aslan z Bukaresztu, która zajmuje się sprawami starości, w czasie ostatniej podróży po ZSRR oświadczyła, dziennikarzom: „Problem długowieczności nie został jeszcze rozwiązany”.

Następnego ranka „Dzień Geriatryczny” zaczął się spokojnie, ale spokój ten znikł niebawem. Napływające grupy lekarzy zapelniały sale, korytarze, galerię i piętra. Na każdym krześle leżyteczka, kartka z nazwiskiem, zeszyt do notatek, torbka, oznaczające zajęte miejsca. Megafony informują, że referatów można będzie wysłuchać również w jadalni i tzw. „Klubie” w sąsiednim budynku. W głównej sali zabrakło miejsc. Olbrymi napływ lekarzy. Starszych? Nie. Bardzo dużo młodzieży. Kobiet nieco mniej aniżeli mężczyzn.

Wszędzie rozmowy na temat starości. Młode lekarki, którym nawet za kilka lat nie pokaże się kolo oczu „ku rza łapka”, dyskutują ze starszymi panami. Zdania są podzielone, dużo krytycznych. Bardzo często slychać: „Chcemy usłyszeć coś więcej, niż przeczytaliśmy w „Przekroju”. Słusznie.

Megafony wzywają na miejsca. Korytarze puste. Robi się cicho.

Referat prof. dr Antoniego Horsta: „Fizjopatologia starzenia się”.

Następny referat wygłasza prof. dr Marian Górski, kierownik Kliniki Chor. Wewn. w Gdańsku: „Niektóre problemy kliniki wieku starczego”.

W czasie przerwy znowu zapelniają się korytarze. Przy stoisku Przemysłu Farmaceutycznego można zapisać się celem otrzymania próbki witaminy H<sub>3</sub> — Geriocainy. Wśród poważnych min lekarzy, uśmiechów i

uśmiezków wyjaśnia się: „Nie wolno jeszcze przesądzać o pełnej wartości tego leku. To jest lek, który jest w stadium badań i doświadczeń. Trzeba go jeszcze wypróbować zanim wyda się ostateczną opinię”. Tymczasem przeglądają ankiety, skierowane do ludzi leczonych witaminą H<sub>3</sub> w warunkach sanatoryjnych w Inowrocławiu.

Oto, co odpowiadano na pytania ankiety, po 3 miesiącach od chwili przeprowadzenia kuracji.

**Rocznik 1879:** „bezpośrednio po kuracji zmęczenie, silne wyczerpanie, senność i apatia, samopoczucie słabe... ale po 2 miesiącach zacząłem odczuwać poprawę, która wzmagala się z każdym

dniem, samopoczucie znacznie się polepszyło. Wróciła pełna równowaga życiowa, pewność siebie i chęć do pracy umysłowej... mimo wieku zdolność do pracy umysłowej lepsza.

**Rocznik 1899:** „więcej siły życiowej, młodszy wygląd i poprawa wzroku.

**Rocznik 1903:** „objawiają się w odprężeniu nerwowym lepszym samopoczuciem psychicznym i fizycznym. Zauważyłem lepszą bystrość umysłu i lepszą pamięć.

**Rocznik 1903:** „lepsza pamięć, samopoczucie lepsze, zniknięcie zmarszczki z twarzy, czuję się znacznie młodszą.

**Rocznik 1914:** „Czy obecna kuracja z zastrzykami H<sub>3</sub> dała lepsze rezultaty? Odpowiedź: Nie. Jakże szczerze głośnie zmiany zauważył po ostatniej kuracji? Odpowiedź: żadne zmiany.

**Rocznik 1914:** „poczułem się lekki, nie miałem niechęci, wstąpiłem szczytnie, czuję się na ulicy jakbym liczył dopiero 30 lat (46 lat)... mogę biegać po schodach... bez zmęczenia... jestem opornym, spokojnym, wydatnie intensywnie mogę pracować... Jasnym umysłem. Czuję się tak, jak czułem się przed 20 laty. Jestem gotowy do każdego wysiłku i najtrudniejszego zadania rozwijając bez wysiłku i przemęczenia.

Ankiety przepisywałem jak najsolidniej. Nie przepuściłem negatywnej odpowiedzi jedynie pytania lub powtarzanie się odpowiadającego.

W międzyczasie dr Snarski rozmawia przez telefon: „około 600 lekarzy. Pięciu profesorów. Zebranie obliczone na członków Kujowskiego Tow. Lek. przekształciło się — mimo woli — na zjazd lekarzy z całej Polski”. Po przerwie prof. dr Fr. Łabendziński z Poznania wygłasza referat „Leczenie chorych w wieku starszym”. Jest różnica między wiekiem pobytu w Polsce widziałem przedstawienia, które mnie zachwyciły oraz takie, które mnie nie zachwyciły. Tym niemniej i pierwsze i drugie przekonały mnie o twórczych tendencjach, o niewątpliwych sukcesach na tym polu, gdzie toczy się permanentna walka o odkrywanie nowego pigmka.

resujący pod słowiańskim niebem teatralnym. Powtarzam — wylączęm tu Rósjan, znam tylko MCHAT. Powiedziałem: poziom, ponieważ w ciągu przeszło dwutygodniowego pobytu w Polsce widziałem przedstawienia, które mnie zachwyciły oraz takie, które mnie nie zachwyciły. Tym niemniej i pierwsze i drugie przekonały mnie o twórczych tendencjach, o niewątpliwych sukcesach na tym polu, gdzie toczy się permanentna walka o odkrywanie nowego pigmka.

**Rocznik 1902:** „poprawa około 3 miesięcy... czuję jednak, że wysiłek myślowy nie jest męczącym... bez opieki lekarskiej obyć się nie mogę, lecz się ciągle, czuję się lepiej, jak w roku ubiegłym.

**Rocznik 1908:** „moja poprawa trwała do 6 miesięcy, teraz czuję się gorzej i pragnąłbym powtórzyć to leczenie... bo mi jest bardzo skuteczne.



Fot. W. Biliński

## Czy „kamień młodości” zwycięży starość?

ka, jest wiekiem tylko „starszym” dla innego. Ktoś czuje się doskonale mając lat 70, a drugi w wieku lat 50—60 czuje się staruszkem. I tutaj nasuwa się problem niezwykle ważny nie poruszony na zebraniu. Kwestia: czy starzenie się, starość jest zjawiskiem fizjologicznym, normalnym, czy też jest chorobą.

Geriatra rumuński — Parhon utrzymuje, że starość należy traktować jako zjawisko chorobowe, które należy leczyć. Natomiast na Zebraniu Towarzystwa Lek. w Wroclawiu dn. 7. XI. 60 profesorowie wrocławskiej Akademii Medycznej stanęli na stanowisku, iż starzenie się jest procesem fizjologicznym, który uspasabia do starzejących dolegliwości, które należy leczyć i którym powinno się zapobiegać.

Na temat starości i jej leczenia prof. Aslan w czasie rozmowy z dziennikarzami w ZSRR powiedziała, że zastrzyki witaminy H<sub>3</sub> nie odwracają starości, przywracają jedynie siły, energię życiową, poprawiają samopoczucie starców.

I znowu dalsza część odpowiedzi na ankiety, dotyczące pacjentów leczonych w Sanatorium w Inowrocławiu po 6 i więcej miesiącach od kuracji witaminą H<sub>3</sub>.

**Rocznik 1893:** „przez blisko rok czułem się doskonale... lekkość, jasność umysłu i chęć do życia... pamięć jeszcze zupełnie dobra... bóle powracają.

**Rocznik 1901:** „siwe włosy znacznie pociemniały, wzmógł się popęd płciowy przez kilka miesięcy, dobre samopoczucie i wygląd odmłodzony... zdolność do pracy domowej lepsza.

**Rocznik 1902:** „poprawa około 3 miesięcy... czuję jednak, że wysiłek myślowy nie jest męczącym... bez opieki lekarskiej obyć się nie mogę, lecz się ciągle, czuję się lepiej, jak w roku ubiegłym.

**Rocznik 1908:** „moja poprawa trwała do 6 miesięcy, teraz czuję się gorzej i pragnąłbym powtórzyć to leczenie... bo mi jest bardzo skuteczne.

Czy Pan dostrzega jakieś wspólne rysy między Waszymi, a naszymi pisarzami, ludźmi teatru itd.?

— Tak, wspólnie śnimy te same sny. Drećca nas te same wątpliwości! Razem odbywamy podróże pod nielitościwymi gwiazdami naszego wieku, tęsknimy do tych samych portów i nadal ufamy z wiarą Don Kichota. I to jest dobre! To raduje! To dodaje odwagi!

— Pan jest po raz pierwszy w Polsce. Czy przytrafiły się Panu jakieś miłe i mniej miłe niespodzianki?

Ankiety jest 120. Na ankiety odpowiedzieli przede wszystkim ci, którzy kurację witaminą H<sub>3</sub> ukończyli z wynikiem bardzo dobrym lub dobrym. Tych, którzy nie odczuli żadnej zmiany po leczeniu witaminą H<sub>3</sub>, było około 15 proc. Natomiast ujemnych reakcji, tak w czasie obserwacji pacjentów jak i w odpowiedziach na ankiety nie zauważono, prócz chwilowego osłabienia i wyczerpania. Dalszy końcowy referat dr Snarskiego „Eutroficzne działanie Geriocainy (witaminy H<sub>3</sub>) w geriatryi”.

Trzeba stwierdzić, że podano nam wyniki kuracji, które — jeśli nie zaspokoili marzenia fantastów — to jednak powinny nasunąć myśl, wyrażoną w dyskusji słowami prof. Górskiego: „Tak jak penicilina zaczęła erę antybiotyków, tak witamina H<sub>3</sub> zaczęła erę przeciwko dolegliwościom starzenia się i starości”.

Do dyskusji zapisało się ponad 20 osób. Różne były wypowiedzi. Obojętne. Wkraczające w dziedzinę nie należącą do geriatryi. I takie, które krytykowały.

Najważniejsze były zarzuty: przypisuje się witaminie H<sub>3</sub> większe znaczenie, aniżeli się jej należy. Zwroć uwagę, że sam pobyt w Sanatorium, rygor, któremu pacjenci podlegali, odpowiednia dieta, leczenie ruchem — to wszystko mogło polepszyć na tyle stan starszych ludzi, że odpowiedzieli z entuzjazmem na ankiety. Jeden z dyskutantów zaznaczył: „Celem lekarzy jest to, aby człowiek stary nie czuł się zbyt ciężki dla społeczeństwa. Powinno dążyć się do tego, aby czas od chwili załamania się psychicznego i fizycznego do chwili śmierci był jak najkrótszy”. Dr Moskwa z Łodzi opowiedział swoje spostrzeżenia geriatryczne z pobytu w Rumunii w 1959 r., kiedy witaminą H<sub>3</sub> leczono tam już około 26 tysięcy starców. Wyniki były raczej dodatnie.

A profesor Aslan stwierdziła w czasie wspomnianego już wywiadu w ZSRR, że w Rumunii witaminą H<sub>3</sub>

— Chociaż jestem w Polsce po raz pierwszy, z Polakami spotykałem się na różnych południkach i równoleżnikach. Najczęściej w Jugosławii, w Dubrowniku i Pulii (w Pulii odbywa się co roku Festiwal Filmów Jugosłowiańskich — S.K.). Każde spotkanie z przyjaciółmi jest przyjemnym przeżyciem. Takie spotkania stają się miłą niespodzianką, kiedy można w tym samym miejscu kontynuować dialog przerwany przed laty.

— Pozwolę sobie na małą niedyskrecję. Czy podobała się Panu Polki? I czy miał rację Wasz cudowny poeta Jovan Dučić, który z takim zachwytem pisał o nich?

— Pozostawiam to, Drogi Przyjacielu, poetom i zawodowym dyplomatom, a wiadomo, że Jovan Dučić był jednym i drugim. Wiersze piszę rzadko, a dyplomacją nigdy się nie paralem.

Wysłuchał i spisał STANISŁAW KASZYŃSKI

przywróciła siły żywotne około 7 tysiącom starych ludzi.

„Dzień Geriatryczny” dobiega końca. Prof. Marian Górski, podsumowując referaty i dyskusje, powiedział, że słusznie podniosły się krytyczne głosy, które mobilizują do dalszych poszukiwań i badań. Nie wolno przestać na osiągniętych wynikach, należy szukać, rozpoczynając erę leczenia dolegliwości starzenia się. I słusznie.

Doniesienia z zagranicy oraz wyniki osiągnięte w Inowrocławiu dają nam tę nadzieję. Witamina H<sub>3</sub>, podawana z innymi lekami poprawia samopoczucie starszych ludzi. Choćby to było subiektywne, też dla człowieka dużo znaczy. Jednak profesorowie Akademii Medycznej we Wrocławiu na zebraniu lekarzy z dn. 7. XI. 1960 r., omawiając fizjologię starzenia się i objawy starości ze strony poszczególnych narządów, nie wypowiedzieli swego zdania w sprawie jej leczenia i w sprawie witaminy H<sub>3</sub>.

Odnosi się jednak wrażenie, że już coś w Polsce zaczęło. Witamina H<sub>3</sub> nie jest „kamieniem młodości”, może jedynie hamuje proces starzenia się.

Nie odwrócić się śmierci. Ale gdyby była możliwość zatrzymania biegu czasu chociażby na kilka lat? Każdy przychylił się do zdania prof. Łabendzińskiego: „Dojrzałość jest przedśionkiem starości”. Może w tym przedśionku można będzie dłużej pozostać?

Ale i dłuższy pobyt w „przedśionku” też kiedyś musi się skończyć. Należy mieć pretensję do natury. Trzeba się umieć mądrze starzeć, nie tak jak wariatka „Z Bulwaru Zachodzącego Słońca”. Do tego trzeba powagi i odwagi, gdyż starość jest przedśionkiem śmierci. Jednak nie upadajmy na duchu. Niech nawet 70-letni pan nie mówi: „gdym był młodszym...”, a 70-letnia pani niech nie wstydy przyznać się do 50 lat życia.

FRANCISZEK MANKOWSKI





## Dzieje łódzkich fortun (I)

### OPTYMIŚCI

To było tak. Wszystko przez tę dziewczynę. Przeżyliśmy razem fabryczne archiwum w ZPB im. Dzierżyńskiego w Łodzi. Stare geyerowskie papiery, okryte kurzem, złożone na ostatnim piętrze, dziś już nieczynnej części zakładów. Dziewczynę mało interesowały oglądane przez nas papiery. Ach, cóż ją mogło obchodzić, że jakiś Ludwik Geyer w 1914 roku musiał wypisać swemu ojcu Ryszardowi rewers na kilka naciętych tysięcy rubli, a na tym dokumencie prezes firmy zrobił adnotację, że nie wolno tego wydać nikomu, nawet samemu... Ryszardowi Geyerowi.

Geyerowie, jakich sama pamiętała, a raczej jakich jej przekazała łódzka legenda, to byli ludzkie solidni, wzór fabrykanckich cnót, a nie ja cyś utracjuszy jak ten Ludwik, późniejszy baron Geyer — Rose, baron, ale bez grosza, bo wszystko przepuścił.

Ale zaraz się zainteresowała: — Patrz — co znalazłam? Była to akcja geyerowska na 1.000 rb. wystawiona w 1886 roku.

Dziewczyna klaskała z radości.

— Spójrz! Rzeczywiście są kuponiki do obcinania nożyczkami. Tak jak uczyli nas w szkole, a ja myślałam, że to bujda.

Mnie w tej akcji zafrapowało jednak co innego. Właściwie też kupony, a raczej u wzięzione na nich daty. Ostatni kuponik bowiem był wystawiony na rok 1960. Dziewczyna też to spostrzegła i na myśl, że w 1960 roku, ktoś mógłby obciąć nożyczkami taki kuponik i zgłosić się z tym do kasy ZPB im. Dzierżyńskiego po dywidendę, zaczęła się serdecznie śmiać.

— Optymiści — szepnąłem. Dziewczyna podchwyciła: — Czekaj, ale co się właściwie stało z tymi optymistami? Ale nie z tymi starodawnymi, co żyli jeszcze za cara bałuski, a z tymi, których tu w Łodzi wszyscy pamiętają. No, z panem Robertem, Karolem, Gustawem. Pana Gustawa to nawet i ja pamiętam, zawsze podglądałam przez sztachety w parku, jak galopował na koniu. Słowo daje, co rano...

I właśnie dlatego napisałam na początku, że wszystko przez tę dziewczynę... Miałem najszerszy zamiar zacząć moją opowieść o rodzinie Geyerów, jak przystało, od początku ich historii. A historia ta długa, bo zaczyna się jeszcze w roku 1828. A tu ci mówią, że początek nieciekawym, żebym zaczynał od końca.

Może bym i nie ustąpił, ale wszyscy w Łodzi, z kim nie rozmawiałem pytali: a co się stało z tymi Geyerami? Niech więc i tak będzie.

### URZĘDNIK GEYEROWSKI NAMIESTNIKIEM... UKRAJNY

Początek końca Geyerów należy chyba umieścić w roku 1939, wraz z wybuchem wojny. Dla innych łódzkich fabrykantów pochodzenia niemieckiego datę tę należy przesunąć do roku 1945, ale Geyerowie, choć ich protoplasta Louis Geyer był czystej

krwi Sasem, przynależeli do narodowości polskiej, a co najważniejsze Polakami się czuli. Jest to zresztą bardzo ciekawy przypadek całkowitej polonizacji niemieckiego rodu w Polsce już w drugim pokoleniu. A my opowiadamy o trzecim kolejnym pokoleniu, całkowicie już zasymilowanym.

Geyerowie nie mieli nic wspólnego z niemieckimi organizacjami, jakie istniały w przedwojennej Łodzi, a Gustaw Geyer nawet na tyle odbiegł od tradycji rodzinnej, że ożenił się z katoliczką, panią Heleną Czechalską. Ale i Karol Geyer, który ożenił się z wnuczką Scheiblera Marią Buchholtz kształcił swoje dzieci w polskich gimnazjach, a „niemczyzna” u niego w domu sprowadzała się do tego, że żona sprowadzała garnki kamienne z Berlina.

Optymizm, powiedziałbym nawet polityczny optymizm, był w tej rodzinie tradycyjny. Nie mam tu pewnie na myśli tego, że w archiwum geyerowskim znalazłem starymi przechowywane akcje „kursko-kijewskiej żelaznej drogi”, ale jedno wydarzenie z przeszłości, które wy-

tym, że jak dotychczas powodziło im się świetnie, wojna w 1939 roku stanowiła kompletne zaskoczenie. A dopiero właśnie zaczęli stawać na nogach, po zniesieniu upadłości i pożegnaniu syndyka, pułkownika Wendzia-Golskiego w 1937 roku.

We wrześniu 1939 roku wojewoda łódzki radził Geyerom, by wyjechali do Warszawy i tam przeczekali, bo „to się niedługo przecie skończy...”

Po wkroczeniu Niemców do Warszawy Geyerowie wrócili do Łodzi. Miasta nie poznali — Łódź była spowita w hitlerowskie flagi, pełna heilujących Niemców, nie tylko, najeźdźców ale i rodzimych — łódzkich. Dla niepoprawnych optymistów stanowiło to niemłą niespodziankę. Przypominali sobie, że w czasie okupacji Łodzi podczas pierwszej wojny światowej nastroje wśród „lodzermenschów” były wyraźnie antyniemieckie i gubernator graf von Beseler na próżno nawoływał łódzkich Niemców do współpracy.

Miesiąc później od przyjazdu Geyerów do Łodzi stało się, że stolarz fabryczny



Fot. W. Rozmyslowia

er choć jednym słowem odezwał się do niego.

Karol Geyer był najbogatszym człowiekiem w Łodzi — o tym wiedzieli wszyscy. Dzisiaj jego sekretarz osobisty pan Wiśniewski ocenia go na jakieś 40 mln. zł. co przed wojną stanowiło kolosalną fortunę. Pan Karol sam nie zarobił jej, po prostu wzenił się w scheiblerowskie miliony. Udział w Spółce Akcyjnej „Ludwik Geyer” był dla niego li tylko sprawą sen-

kretnie wysłał pisma do Karola Geyera, nawołując go do uregulowania należności. Karol Geyer nie raczył nawet rozciąć tych listów, leżały one wszystkie na biurku pana Wiśniewskiego, czekając na powrót adresata. Zanim on jednak wrócił, Urząd Skarbowy zarządził licytację u Karola Geyera na Czerwonej 4, lojalnie o tym uprzedzając. Karol Geyer całkowicie to zlekceważył, w głowie

za Karola Geyera, sumę zresztą niewielką.

Ten najbogatszy człowiek w Łodzi słynął zresztą ze swego skąpstwa. Jego stara wysłużona teczka budziła w Łodzi sporo żartów, znano też powszechnie zabawny epizod z majstrem Głowackim. Majster Głowacki był synem kucharza ojca Karola Geyera, w dzieciństwie razem hodowali gołębie, przy czym Głowacki — junior podobno „kantował” młodemu Karola Geyera, sprzedając mu zwykłe gołębie jako sztuki rasowe. Obaj wydorosli, przestali hodować gołębie, jeden został majstrem u Geyera, drugi współwłaścicielem fabryki. I otóż zdarzyło się, że majster przyszedł do współwłaściciela fabryki, prosząc o wypłacenie oszczędności jego ojca z dolarowego konta. U Geyerów był taki system, że pracownicy mogli sobie składać oszczędności w firmie, i celem uniknięcia dewaluacji były one „dolarowe”, wypłacane w złotych według aktualnego kursu dolara.

Karol Geyer zarządził natychmiastową wypłatę.

Z chwilą jednak gdy dowiedział się, że pieniądze te zostały zdeponowane na jego osobistym koncie kazał wstrzymać wypłatę swojemu towarzyszy z lat dziecińczych.

Karol Geyer nie miał takich szerszych zainteresowań intelektualnych. Co prawda w swoim czasie ukończył wydział chemii na politechnice w Zurichu, ale chemicy z fabryki jakoś nigdy nie dawali temu wiary...

Do interesów miał jednak głowę, przy czym był szalenie pracowity, potrafił całymi nocami studiować bilanse. Zresztą codziennie kładł się spać o 2 w nocy, a wstawał o 11 w południe. Na jedną rzecz miał tylko zawsze czas: na kino, które stanowiło jakbyśmy dzisiaj powiedzieli jego hobby. Pan Wiśniewski wspomina, że gdy tylko wracał z zagranicy, z jakiegoś dłuższego wyjazdu pierwsze, co kazał sobie referować, to były programy kinowe.

# Co się stało z Geyerami?

daje mi się na tyle charakterystyczne, iż warto opowiedzieć.

Po pierwszej wojnie światowej łódzki przemysł bawelniany boleśnie odczuł utratę rosyjskich rynków zbytu. Za przykładem innych fabrykantów, którzy doszli do przekonania że handel z Rosją Radziecką może być zupełnie dobrym interesem, próbowali i Geyerowie uzyskać od rządu polskiego zezwolenie na eksport do Rosji. Rząd Radziecki, mowa tu o 1919 roku, nie płacił co prawda gotówką, a weksłami dyskontowanymi przez jeden z banków berlińskich, po bardzo niskim kursie, ale przy odpowiednim wyśrubowaniu ceny za towary, całkowicie się to opłacało.

— Owcześnie premier polski — Skulski poradził jednak Geyerom, żeby wstrzymali się od tych transakcji z rządem radzieckim.

— Niedługo zostanie ustanowione polskie namiestnictwo nad Ukrainą i wtedy będą mogli panowie swobodnie eksportować swoje wyroby na Wschód — powiedział. I dodał jeszcze: mogę jeszcze panom w zaufaniu powiedzieć, że na namiestnika Ukrainy został wyznaczony jeden z urzędników waszej firmy...

Wobec tak obiecujących perspektyw Geyerowie zdecydowanie zaniechali handlowych transakcji ze Związkiem Radzieckim.

### KIEDY KAROL GEYER PO RAZ PIERWSZY ODEZWAŁ SIĘ DO PANA FRASZKI

Przy tak więc dużej dozie optymizmu i uzasadnionego

Marian Fraszka zamienił po raz pierwszy w życiu dwa zdania z Karolem Geyerem.

Fraszka pracował u Geyerów od 1913 roku, był nawet kierownikiem warsztatu stolarskiego, jakoś jednak dotychczas Karol Geyer go nie dostrzegał... Pana Fraszkę gdzieś w grudniu 1939 r. Niemcy zatrudnili w obozie na Radogoszczu przy jakichś robotach stolarskich. Na Radogoszcz Niemcy wywozili Polaków przeznaczonych na wysiedlenie do Generalnej Guberni. Łódź, paragon, Litzmannstadt miała się przecieć stać prawdziwie niemieckim miastem...

Tego dnia Marian Fraszka jak codziennie pojechał na Radogoszcz. I tam naraz usłyszał, że ktoś z tłumu ludzi za drutami woła go. Był to Karol Geyer. Fraszka ze zdziwienia aż zaniemówił... Po pierwsze nie mieściło mu się w głowie, że wysiedlają takiego potentata, po drugie nie przypuszczał, by Karol Geyer znał w ogóle jego nazwisko...

### NAJBOGATSZY CZŁOWIEK W ŁODZI

Karol Geyer był bowiem jak to robotnicy dzisiaj określają — człowiekiem nieprzystępnym. Nigdy do robotnika nie odezwał się słowem, nie odklonił się nawet, co najwyżej kiwnął palcem. Karol Dembowski, mistrz-mechanik w firmie „Geyer” często bywał wzywany do Karola Geyera, do jego pałacyku przy Czerwonej 4, w związku z różnymi reperacjami domowymi, a najczęściej po to, by dzieciom naprawiać zabawki. Nie zdarzyło się, by pan Karol Geyer

tymentu rodzinnego, sprawie kontynuacji tradycji rodowych, gdyż dochody, jakie stąd czerpał, przedstawiały się raczej mizernie. Stąd w fabryce pokazywał się rzadko i chociaż wchodził w skład zarządu nie miał wydzielonej dziedziny działalności. 150 sztuk akcji geyerowskich, które posiadał, stanowiły zaledwie znikomą część jego majątku. Był on jednym z najważniejszych udziałowców Białostockich Zakładów Welnianych „Eugeniusz Beckier”, Warszawskiej fabryki koronek „Schenker-Götlich”, Łódzkich Kolei Dojazdowych, cukrowni „Leś mierz”, kopalni „Saturn”, cementowni „Jowisz”...

Przez syndyka w fabryce geyerowskiej, pułkownika Wendzia-Golskiego z „legionowej sytuacji” Karol Geyer wszedł w najlepsze sfery towarzyskie. Już i sam wódz naczelny, marszałek Smigły-Rydz, zaszczylił jego pałacyk w Łodzi swą wizytą. Po tej wizycie w Łodzi przebąkiwano nawet, że Karol Geyer wejdzie w skład rządu...

Niezależnie jednak od tych wszystkich rozlicznych sukcesów był to człowiek szalenie zadufany w sobie. Świadczy o tym zresztą pewne zabawne wydarzenie, z którego w swoim czasie śmiała się cała Łódź. Zdarzyło się, że sekretarz osobisty Karola Geyera, który zajmował się jego wszystkimi sprawami został powołany do wojska. W tym czasie w związku z jakimiś zaległymi podatkami, Urząd Skarbowy w Łodzi kilka-

mu się bowiem nie mieściło by miano zlicytować jego — najbogatszego człowieka w Łodzi, a może i w Polsce.

Tymczasem pewnego dnia przed pałacyk na Czerwonej 4, podczas gdy Geyera nie było w Łodzi zajechała ciężarówka z komornikiem, licytатorem, taksatorami z całej Łodzi zlecieli się handlarze, przekupnie, zacierając ręce z radości, jaki to interes zrobią, nabywając meble Geyera na licytacji. Całe to bractwo cisnęło się



Marian Fraszka

już w pałacyku, oglądało meble, zastawę stołową, gdy wreszcie przerażony wszystkim lokaj zadzwonił do Gustawa Geyera.

I dopiero Gustaw Geyer zapłacił Urzędowi Skarbowemu należność podatkowa



Role Julii w „Tryptyku” grała Barbara Polomska. Ponieważ nie dysponujemy jej zdjęciem z teatryku „A ku ku” prezentujemy podobne ze sztuki „Archaniołowie nie grają w bilard”.  
Fot. J. Neugebauer.

Na scenie „A ku ku”

## Tryptyk szekspirowski

Audycje rozrywkowe nadawane ze studia łódzkiego nie cieszą się jak dotąd uznaniem widzów. Krytyka fachowa nie szczędziła im ostrych słów. Obok koncertów rozrywkowych stała, bo raz w miesiącu nadawana audycja, jest telewizyjny teatryk „A ku ku”. „A ku ku” nie miało dotąd jasno określonej koncepcji artystycznej. Mały teatryk? Tak. Kabarek? Nie. Estrada z całą umownością do koracji i kostiumów? Nie. Teatr realistyczny idący w kierunku rozrywkowym?

Oglądaliśmy ostatni spektakl teatryku „A ku ku” — „Tryptyk szekspirowski”. Ryszarda Marka już z pewną satysfakcją. Był to po raz pierwszy w dziejach tej telewizyjnej scenki występ sumiennie przygotowany od strony scenografii (można dyskutować czy jej realizm jest na miejscu w takim teatrze), od strony aktorskiej — po prostu aktorzy dość dobrze opanowali pamięciowo tekst, co w telewizji jest rzadkością, od strony muzycznej — śliczne melodie na zespół z cytra napisał Piotr Hertel (zdjęcie zamieszczamy obok) i od strony reżyserskiej (Tadeusz Woronickiewicz).

Tekst tryptyku szekspirowskiego plóra dwóch utalentowanych młodych satyryków łódzkich nie należy zapewne do ich najlepszych osiągnięć, pamiętamy lepsze, że wspomniemy tu tylko szopkę wystawianą na Małej Scenie Teatru Nowego. Tekst tryptyku formalnie bez zarzutu, aczkolwiek trudny dla aktora, miał chyba jeden podstawowy brak, był niestety, mało dowcipny. Najlepsza była część trzecia, rzecz o Otellu i Desdemonie. Móg-

wiąc o braku dowcipu myślimy o dowcipie obiektywnym, dowcipie adresowanym nie tylko do szekspirologów, którym wystarczy już przebranie Otella w strój innego bohatera szekspirowskiego, ale o tym gatunku humoru, który odbiera się z łatwością każdy widz.

Dochodzimy tu do miejsca, w którym należałoby odpowiedzieć na pytanie, dla jakiego widza przygotowywane i adresowane są widowiska „A ku ku”? To trudna odpowiedź.

Należy przypuszczać, że sama redakcja tej audycji nie ma jeszcze sprecyzowanego sądu na ten temat. Nie odmawiamy jej wszakże prawa do poszukiwań. Jednak wydaje się, że przy ustawicznym braku audycji rozrywkowych w telewizji, nie należy zawężać kręgu odbiorców do tych, którzy wiedzą, co to czy kto to Czajka i Czajnik, lub takich, którzy wychycią subtelna aluzję do Ireny Krzywickiej. Ryszard Marek nie byłby jednak sobą, gdyby tego nie zrobił.

Tekst miał jeszcze inne niedomogi: nie pozwalał nikomu z aktorów ani dłużej zaśpiewać, ani „się rozegrać”, liczne lalambury, które z pewnością wychwycone byłyby w druku, w partiach mówionych lub śpiewanych, wyglądały na „sytki” lub potknięcia aktorów. Szczególny żal mamy o to, że śliczna piosenka grabarza była taka króciutka.

Na koniec powiedzmy, że „Tryptyk szekspirowski” był najlepszą z nadanych dotąd audycji Teatryku „A ku ku”. Czekamy na następne.

JERZY PANASEWICZ

## Co grudzień niesie?

Jak zapowiada się grudzień w telewizji łódzkiej? Co zaprezentujemy na antenie ogólnopolskiej? A więc 3 grudnia nadane będzie oryginalne widowisko muzyczne pt. „Robert Schuman”. 8 grudnia Łódź przedstawi widzom całego kraju nadawany co miesiąc magazyn filmowy „Klasy”. Pomysł realizowania takiego magazynu należy pochwalić. Łódź jest polskim centrum filmowym, a jak wiadomo film, jego kulisy zawsze interesują ogromnie rzeszę widzów. Na marginesie można tylko zauważyć, że ta właśnie dziedzinie cieszy się małym zainteresowaniem łódzkiej prasy, telewizja nadrabia więc te braki. 9 grudnia wystąpi w telewizji Studencki Teatr Satyry „Pstrąg” prezentując wodewil bałucki „Ślódnie nie flatruj” pióra Janusza Słowikowskiego i Jana Skosińskiego z muzyką Piotra Hertla, w reżyserii Ja-

nusza Kłosińskiego. Tym, który wodewilu tego nie widzimy, donosimy, iż jest to współczesna rzecz o łódzkich Bałuckach. Piosenki w większości nowe, ale utrzymane w stylu bałuckim. Jest też kilka piosenek łódzkiej „pieśni gminnej” a raczej podwórzowej. Na scenie było to widowisko bardzo udane i serdecznie przyjmowane przez publiczność. Jak wspomnieliśmy w telewizji — zobaczymy. 16 grudnia oglądać będziemy sztukę „Obrona Sokratesa”, będzie to przeniesienie z Teatru Nowego.

Tyle zapowiedzi na najbliższe tygodnie. Zaś na dzień 28 listopada zaplanowano „Warszawiankę” Wyspiańskiego w reżyserii Kazimierza Dejmki. Jesteśmy już po tym spektaklu, niestety, wyprzedzenie, z jakim redagujemy te kolumny, nie pozwala nam omówić audycji. Zrobimy to w następnym numerze.

# TELEWIZJA

## „Prowincjusz” w Warszawie

Na jednym z ostatnich teleturniejów — tym razem dołączył on arcydzieł literatury — doszło do małej sensacji: otóż pierwsza nagroda wywędrowała z dumnej stolicy. Zdobył ją jakiś sympatyczny pan, który — jak oświadczył — przebywa w Warszawie w związku z pracą...

Ow pan pytał nawet, czy bon towarowy, jaki otrzymał, może zrealizować

gdzieś poza Warszawą i dowiedział się, że są to sprawy techniczne do omówienia po zakończeniu audycji. Bardzo słusznie — gołowi jesteśmy zalczyć się o zgnile jajko przeciwko całej herbacie Chin, że organizatorzy byli na 100 procent pewni, iż nagroda pozostanie w stolicy... Bo kto ma szansę poza warszawiakami, którzy są — że tak powiem — na miejscu?...

## Co posiadamy?

Parę tygodni temu jedna „Kobra” szła z telerecordingu — było to po prostu powtórzenie udanej audycji z lipca. No pięknie, ale kto z widzów wie, co posiadamy? Kto wie, jakie audycje możemy powtórzyć, a jakich — z przyczyn technicznych — nie?

Rzecz wcale nie jest błaha — gdyby bowiem telewizywnie byli regularnie informowani co jest osiągalne, jakie powtórzenie jest możliwe, mogliby — konsekwentnie — na pewniaka pisać do telewizji prosząc o powtórzenie audycji. Mało — mogliby brać udział w

stałym plebiscycie na temat co się podobało, a co nie. Przypuścimy — po tysiącu pozytywnych listów powtarzamy audycje, poniżej tyśiąca nie powtarzamy i tak dalej.

Tylko — telewizor musi wiedzieć, musi być informowany a nawet namawiany do pisania. Ogłosimy — na przykład w „Radio i telewizji” — białą listę osiągalnych audycji, które telewizja może powtórzyć telerecordingu. Zebyśmy wiedzieli, co posiadamy. Zebyśmy mogli pisać, prosić, a nawet błagać.

## Dwaj żołnierze



Oto dwaj z trójki autorów wodewilu „Ślódnie nie flatruj”. Ponieważ są to ludzie młodzi, niedawno odbyli służbę wojskową — zamieszczamy ich zdjęcie z tego okresu. Młody kompozytor Piotr Hertel służył w wojsku tylko podczas studenckich juwenaliów, natomiast Janusz



Słowikowski autor wleń kszosci tekstów jest autentycznym kapralem podchorążym, co nie przeszkadza mu posiadać tytuł magistra polonistyki.

Obydwaj żołnierze stworzyli także przebój sezonu — piosenkę „Pa rasolki”, którą śpiewa Maria Koterbska z orkiestrą P. R. pod dyrykcją Edwarda Czernego.



## Goście w Łodzi

W związku z tygodniem prasy młodzieżowej gościli w Łodzi na spotkaniu z młodzieżą ZMS-owska — I sekretarz KC ZMS Marian Renke oraz dziennikarze prasy młodzieżowej — Felicja Rappaport, Wojciech Giełżyński i Leszek Błaszczak. Największe zainteresowanie wzbudziła rzecz o sta — relacja Wojciecha Giełżyńskiego z pobytu na Kubie... W Łodzi gościli również w ubiegłym tygodniu przyszłi następcy Ordonki, Dymisz czy Loptka — czyli młodzi i naprawdę bardzo utalentowani studenci Wydziału Estrady Warszawskiej PWST. Dalj oni uroczy spektakl będący przeglądem starych, ale wciąż żywych numerów kabaretowych „Bal na Gnojnej” (bo tak brzmi tytuł programu) prowadzony był przez takich wodzirejów jak Ludwik Sempoliński i Kazimierz Rudzki.

## Jubileusz piosenki

Popularne „Spotkania z piosenką” doczekały się skromnego jubileuszu. Otóż 5 grudnia odbędzie się 20 impreza tego cyklu. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że na każde spotkanie przychodzi około 600 osób, to nietrudno obliczyć, że już ponad 12 tys. łódzian uczestniczyło w tej sympatycznej i jakże potrzebnej imprezie. Wiele z piosenek lansowanych na spotkaniach dostało się na antenę Polskiego Radia, kilka zaś będzie wydanych niebawem przez Państwowe Wydawnictwo Muzyczne. Zważywszy małe umiarkowanie łódzkiej młodzieży i dotychczasowy brak dobrych ciekawych melodii i tekstów — popularność „cyklu” bardzo nas cieszy.

## Warto obejrzeć

Fotografja stała się ostatnio bardzo popularną, w naszym kraju. Nic więc dziwnego, że mamy obecnie w Łodzi aż dwie interesujące wystawy fotografiki. Ekspozycję fotografii węgierskiej obejrzeć można (i należy) w lokalu Polskiego Towarzystwa Fotograficznego przy ul. Struga 2. Druga wystawa zorganizowana przez radę uczelnianą ZSP mieści się przy ul. J. Racza 7, a tytuł jej brzmi „Moskwa — Krym — Kijów”. Autorem tego pięknego zestawu fotografii jest Janusz Horeśniak. Zarówno pierwszą jak drugą ekspozycję gorąco polecamy naszym czytelnikom.

## Niebawem w Łodzi

Niedługo Łódź będzie mogła oglądać wystawę nowych prac Wacława Kondka. Myślimy, że łódzkim miłośnikom malarstwa nie trzeba tego artysty specjalnie reklamować. Pamiętamy przecież wszyscy wystawę Marii i Wacława Kondków w Ośrodku Propagandy Sztuki w roku 1958. Ekspozycję tę odwiedziło wówczas kilka tysięcy osób co jest na stosunki łódzkie niezmiernie zawrotną. Otóż jak się dowiedzieli-

my niedługo w salonie wystawowym TBWA (Piotrkowska 102a) zobaczymy wystawę malarstwa, rzeźby i grafiki Wacława Kondka.

\* \* \*

Również niedługo będzie my gościć w Łodzi rewelacyjną budapeszteńską „Rokki” w roku 1958. Ekspozycję tę odwiedziło wówczas kilka tysięcy osób co jest na stosunki łódzkie niezmiernie zawrotną. Otóż jak się dowiedzieli-

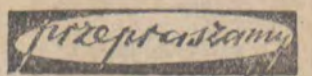
## Czwartki literackie

Namnożyło się ostatnio w Łodzi „czwartkowych” imprez! Nie dajcie, jak w poprzednim numerze pisaliśmy o organizowanych przez „Karuselę” satyrycznych czwartkach, a już musimy odnotować „Czwartki literackie” Klubu Młodych przy Związku Literatów. Niedawno rozpoczęły cykl spotkań czwartkowych jest impreza długoplanowa i jak widać z dotychczasowych

skromnych doświadczeń cieszy się powodzeniem. Nie dziwnego, bo tematy spotkań (Saint John Perse, twórczość w prozie amerykańskiej) są na pewno atrakcyjne. Szkoda tylko, że tak rzadko spotkać można na takich czwartkach „starych” polonistów. Czy przyszłych filologów nie interesowałyby problemy „literatury”?

## Prostujemy

W reportażu Danuty Tarczyńskiej „Ludzie z hotelu” zamieszczonym w 40 numerze „Odgłosów” znalazła się informacja dotycząca m. in. „inspektora NIK-u”. Informacja ta dana została bez dostatecznego udokumentowania strony autorki i nie odpowiada prawdzie.



Redaguje Zespół \* Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” \* Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98, Tel. 244 79 \* Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł \* Redakcja nie zamawia reklam bez skierowania zwrotka \* Prenumerata przyjmowana w punktach pocztowych, listonoszów oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Z. 1961. XI. 60 r. R-3

NA GRZEGORZA TIMOFIEJEWĄ

Gdzież ma dla większej powagi  
Przyjąć order „człowiek nagi“?

APEL ŁÓDZKI

Fraszek po sto łowię  
Drukuj Postołowie!!



NA DYREKTORA MAJAKA

Czy opera, jako teatr walor ma  
jaki?  
Łodzianin wdycha i mówi:  
Majaki. —



MUZA Z ZASCIANKA  
(na podróz Huszczy do Paryża)

I w Paryżu z Huszczy  
Ryżu nie wyluszczy.

HOTEL POD „SZATANEM“

(na łódzką izbę wytrzeźwień)  
Kto nie jest siebie panem  
Spi w hotelu pod „Szatanem“.



NA MALARZA MACKIEWICZA  
KONSTANTEGO

Zamiast malować nas,  
On coraz dalej w las.

ODWAGI, CZYLI ALBOŚMY TO  
JACY TACY

Skoro z Muzą sypia Chróścieł  
I ty sobie gniazdko uścieli!



# Czarownice przed sądem

Spotykamy się niejednokrotnie, z wyrażeniem: procesy czarownic. Wiemy wszyscy, co ten zwrot oznacza. Są to procesy, w których oskarżenie jest fikcją służy jedynie jako pretekst do podjęcia walki i rozprawienia się z przeciwnikami. Oczywiście „procesy czarownic“ może inscenizować przeciwko wszelkiego rodzaju opozycji jedynie strona silniejsza, dzierżąca władzę w swych rękach. Sytuacja ciężka, by nie powiedzieć — beznadziejna; trudno, bardzo trudno jest bronić się przeciw zarzutom zmyślonym, zwłaszcza, gdy wyrok został z góry przesądzony.

Był jednak w dziejach ludzkości okres bardzo długi, bo prawie 500-letni (w. w. XIII—XVIII), gdy procesy czarownic nie były pojęciem metafizycznym, lecz zgoła realnym, konkretnym, określającym fakty, zjawiska powszechnie znane, często oglądane i niemal dotykane. Ludźce, uważani za kontrahentów szatana, byli — „w majestacie prawa“ prześladowani, więzieni, torturowani, sądzeni i z wyroków duchownych, bądź świeckich trybunałów — skazywani na okrutne kary. Bulle papieskie, skierowane przeciwko czarownictwu i kacerstwu oraz dzieła uczonych teologów, zawierające instrukcje i wyjaśnienia w sprawie metod łepienia czarownictwa nie pozostały bez skutku. Liczba delikwentów, oskarżonych w różnych krajach o czarownictwo i pakt z diabłem, stale rosła, sięgając w ciągu wspomnianego 500-letnia wielolet tysięcy. Trzeba przy tym pamiętać, że w owych procesach „oskarżony“ znacząco prawie zawsze osądzony, a tym samym zgładzony w sposób najokrutniejszy.

Gdyby jednak ktoś z ówczesnych ludzi ośmielił się zarzucić sędziom inkwizycyjnych trybunałów niełudzkość i okrucieństwo, wzbudziłby w nich żywy sprzeciw i oburzenie. Jezuita Del Rio — podobnie jak wielu innych uczonych i pobożnych sług Kościoła — starał się nawet wykazać humanitarystom inkwizytorów, pisząc m. in.:

„Chociażby nawet czarownice nie wyrządziły bliźnim żadnych szkód, i tak zasługują na karę śmierci, aby im w ten sposób przeszkodzić w późniejszych zbrodniach. Jest to nawet bardzo korzystne dla ich duszy, bo po śmierci ziemskiej — wiecznej. Spalenie na stosie jest względnie lekka kara i skazani powinni się cieszyć, że ak łagodną i szybka śmiercią mogą prześladować Boga za wyrażoną mu obrazę. Czarownice, które okazują skrucie, przed spaleniem, powinny być uduszone, zatwardziałe należy pilić żywcem“.

Instrukcja, jak widzimy, jasna i niedwuznaczna. Jak oczuwały jej „łagodność“ duszono przez oprawców albo palono żywcem ciała, nie trudno sobie wyobrazić. Co zaś się tyczy dusz, które miały w ten sposób uniknąć „śmierci wiecznej“, ani od nich, ani o nich, niestety, żadnych wiadomości nie mamy.

A oto parę przykładów ilustrujących, jak wyglądało praktyczne stosowanie wszelkich „miotłów na czarownice“ itp. kodeksów karnych, wymierzonych przeciwko czarownictwu i herezjom.

1690 r. w domu tokarza Gruebera, w niemieckim miasteczku Giesling, „jakąś biedną duszą czyszcącą tłuła się, bił ludzi, rzucała polanami itp.“. W związku z tym wyznaczono „biednej duszy czyszcącej“, miejscowy sąd zarządził dochodzenie przeciwko 20 osobom podejrzanych o czary. Aresztowano rodzinę Grueberów i Eggerów, ich sąsiada Weinzierla wraz z żoną i córką oraz akuszerkę Schneiderbauerową. „Zbrodnie“ ich polecały na „zaprzędaniu się dia-

blu i uprawianiu z nim nierządu, na zjazdach diabelskich i zbezczeszczeniu hostii“. Jak podają akta sądowe, „podczas tortur z zaśrubowaniem nóg, córka Weinzierla okazała taką wytrzymałość, że im bardziej zaciśniano śruby, tym większa była jej zacietość. Nie wymówiła ani słowa, a oczy tak miały zmienione, iż sędziowie ponad wszelką wątpliwość uznali, że za pomocą środków czarodziejskich uzbroiła się w zdolność milczenia i niezłomność na ból“.

W wyniku procesu — zgodnie z wyrokiem sądu, małżonkowie Grueberowie i Eggerowie zostali uduszeni, a następnie spaleni. Dwoje dzieci Grueberów ścięto(!), a potem spalono; uprawiać one miały jeszcze w więzieniu nierząd z diabłem(!) Również Weinzierl został ścięty, a następnie spalony. Dom Grueberów zburzono, a szczątki spalono na stosie.

Sędziowie z Giesling — jak widzimy — byli bardzo zdecydowani i konsekwentni w akcji łepienia tzw. czarownictwa. A zaczęło się wszystko od tej niespokojnej „duszy czyszcącej“.

W 1715 r. rada miasta Dingelting wydała wyrok śmierci i 46-letnią wyrobnicę Walpurgę Piker i dwóch jej synów. Podczas tortur, matka wyznała, że za pomocą sztuk diabelskich jeździła na sabaty czarownic, zawarła pakt z diabłem i ofiarowała mu swych synów. Małoletni synowie otrzaskali publicznie chłostę i usiłowali patrzeć na śmierć matki, która została ścięta i spalona.

W 1717 r. stracono we Freising kilkoro dzieci szkolnych poniżej lat 10, oskarżonych o „robienie myszy“(?) i tańce diabelskie i obcowanie płciowe z szatanem.

W Niemczech ostatnią „czarownicą“ była Anna Schwagelin, która zginęła na stosie 11 listopada 1775 r. w Kempen. Na wyroku śmierci widniał podpis: „Honoriusz, książę-biskup. Fiat iustitia“. Przyczyną „wymiaru sprawiedliwości“ było zawarcie związku małżeńskiego z protestantem; oskarżenie o czary doczepiono baczoremonialnie do tego faktu.

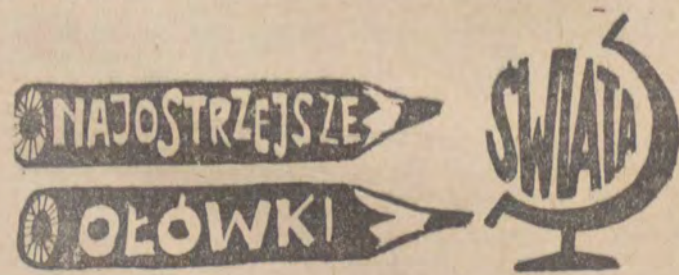
Warto przypomnieć, że w tymże 1775 r. odbył się i w Polsce ostatni proces czarow-



nic, w wyniku którego zgładzono 14 kobiet wiejskich, oskarżonych o „zadanie“ choroby jałmiej pani dziedzicze ze wsi Doruchowo w ziemi wielunińskiej.

Rok 1775... Toć przecież żył już wtedy w Niemczech Goethe i Schiller, a pierwszy z nich pisał swe młodzieńcze utwory. W sąsiedniej Francji plejada myślicieli i uczonych — encyklopedystów podkładała swym działom dynamit racjonalizmu i rewolucji pod zmurszały gmach starego ustroju. A w Polsce rozpalaly się zorze wielkiego Oświecenia. Ale nad miastem Kempen w prowincji reńskiej unosił się swąd żywca palonego ciała czarownicy Annę Schwagelin.

Upłynęło jeszcze stulecie — i w 1877 r. spalono na stosie w Meksyku ostatnią czarownicę w Ameryce. Ale nie był to już akt „wymiaru sprawiedliwości“, lecz raczej samosąd ze strony ciemnego i sfanatyzowanego tłumu. Upłynęło dalszych kilkadziesiąt lat — i widzimy, że próby samosądu nad „bezbóżnikami“, „heretykami“ i „czarownikami“ zdarzają się jeszcze dziś. Odpowiedzialność za takie czyny ponoszą przede wszystkim ci, którzy — „rządząc“ nieoświeconych wciąż jeszcze — zły z tej swojej władzy czynią użytek.



Francuski karykaturzysta Flip od początku swej błyskotliwej kariery specjalizuje się w tematyce egzotycznej. Nie jest zresztą pod tym względem wyjątkiem — rzecz charakterystyczna, współczesna karykatura bardzo chętnie wykorzystuje egzotykę, tyśiące rysunków ukazują zagubione na oceanie miniaturowe wyspy bezludne, latające dywany, złych ludożerców, tajemniczych faktów etc. A najciekawsze — że czytelnikom jakoś się to wszystko nie przejądo.

Skąd się wzięł? popularność tych motywów? Żyjemy w czasach, kiedy nie ma już na mapie białych pól, ostatni robinsonowie przeżywali swe samotne przygody w czasie ostatniej wojny na Pacyfiku, niemal wszystkie tajemnice indyjskich faktów zostały przez naukę opisane i wytłumaczone, latające dywany — czymże są wobec odrzutowców? Czytając baśnie z 1001 nocy można co najwyżej podziwiać ich piękną fakturę literacką, ale nie przejmować się ich zagadkowym mistycyzmem.

Nowoczesne środki komunikacji, film, relacja naukowa — zbliżyły do nas egzotykę. A jednocześnie wytworzył się pewien dystans od jej najbardziej klasycznych, wytartych już rekwizytów. Faktury, la-

tające dywany, wyspy bezludne — potrafią dziś tylko śmieszyć. Powracając do francuskiego rysownika — popularność Flipa polega naturalnie nie tylko na eksploatacji lubianej tematyki. Młody humorysta (debiutował zaledwie 5 lat temu) wykazuje wielką pomysłowość, brawurowo żongluje użytymi elementami, tworząc anegdoty świeże i niebanalne. Stosuje przy tym często oryginalny chwyt — miesza rzeczy bajeczne ze współczesnymi.

(jert)

# FLIP



Wódz prosi śniadanko do łódka!



## „Oni“ powrócili czyli: kto jest kto?

(Dokończenie ze str. 4)

to znaczy — jeden oficer przypada na 11 szeregowych, jeden — normal na dwa tysiące ludzi, a jeden podoficer na 1,7 czworaka. Zważywszy przy tym, że w 1918 roku Reichswehra liczyła 4 tyśiące oficerów, a Wehrmacht w 1939 — 24 tyśiące.

Za dwa lata admirał Ruge dowodził ma 24 eskadrami morszymi, które się obecnie na gwałt przygotowuje. Za dwa lata również lotnictwo Niemiec Federalnych będzie najpotężniejsze w NATO. Minister Strausz nie zakupił taniego aparatu francuskiego — Mirage-IV — wolał amerykański Lockheed F-104 Starfighter, który jednak kosztował przerobić niemieckim inżynierom na maszynę jeszcze szybszą i jeszcze sprawniejszą.

W odrodzonych zakładach lotniczych Heinkel — Messerschmitt — produkują się już samoloty F-104 G Superfighter, myśliwce bombardujące, zdolne do przewożenia bomb nuklearnych. Za pięć lat inżynierowie niemieccy obliczają posęgowiec, który trzykrotnie przekroczy szybkość dźwięku. W Fürstenfeldbruck, o 32 km na północ od Monachium, szkolą się piloci tej nowej Luftwaffe. Zamiast dzisiejszych 6 eskadr (w tym czterech eskadr myśliwców bombardujących) z obsługą 62 tyśiące ludzi, za dwa lata

przewiduje się oddanie do służby 28 eskadr.

A jeśli chodzi o broń atomową — nie dysponuje. Posiada w zamian całą gamę rakiet, które można wyposażyć w głowice nuklearne. Już w grudniu 1958 otrzymała pierwsze rakietki typu Honest John, broń taktyczną o niewielkim zasięgu 25 do 30 km. Obecnie posiada 17 batalionów rakiet Honest John, 9 batalionów z rakietami typu Hawk (ziemia — powietrze), 6 batalionów uzbrojonych w rakietki Canopus i Sergeant (o donośności do 100 km), 6 baterii Nike Hercules. Do zapowiadanych przez Norstada 100 batalionów rakietowych nie jest tak już daleko samym Niemcom. A sprawa wyposażenia Bundeswehry w rakietki Polaris o zasięgu 2000 km nadal zostaje otwarta.

Kadry owych jednostek szkolą się od dawna w Stanach Zjednoczonych: w Centrum Wyżkolenia Artylerii i Broni Zdalniekierowanych w Fort Bliss i kilku jeszcze ośrodkach. Ale ponieważ USA przeżywa kryzys finansowy, a NRF gospodarczo kwitnie, ani chybli, będzie musiała wziąć na siebie obowiązek produkcji broni nuklearnych, z których zamierza korzystać. I nie ulega wątpliwości, że obowiązek ten gotowa czekać bez jakiegokolwiek wzdragań.

Opracował: K. J.

# DWA KONGRESY

W październiku odbyły się w stolicach Rumunii i Czechosłowacji narady twórców filmów oświatowych. Donosiła już o nich prasa codzienna; bliższe szczegóły tych narad przekazał nam naczelny redaktor Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi — pan Julian Tuwim — W jakim celu odbyły się narady?

Narada bukareszteńska zwołana została z inicjatywy państw socjalistycznych, i tylko w gronie ich przedstawicieli. Głównym celem by-

riuszy. Referat na temat gatunków filmu oświatowego wygłosił reżyser Wasilkow ze Związku Radzieckiego.

Inny zakres miał Kongres AICS (Międzynarodowe Stowarzyszenie Filmu Naukowego) w Pradze. Podstawowym celem była tu wymiana doświadczeń w zakresie filmu naukowego, jako jednego z gatunków filmu oświatowego. Film naukowy coraz częściej wkracza na sale wykładowe wyższych uczelni, do pracowni instytucji naukowych — dlatego

Radzieckim. W Brytanii oraz z państw pozaeuropejskich — Stanów Zjednoczonych, Chin, i Japonii.

Udział wzięły również młode kinematografie Maroka i Tunisu.

— Które z państw zaprezentowało najciekawsze filmy?

— Osobiście jestem pod wrażeniem kolorowego filmu japońskiego pt. „Symfonia stali”, którego tematem jest automatyzacja w hutnictwie. Film ten — może to brzmi zbyt patetycznie — jest jakimś hymnem na cześć nauki, postępu technicznego. Wiele ciekawego materiału filmowego i naukowego pokazali delegaci ZSRR, Stanów Zjednoczonych i W Brytanii.

— Jak wypadł nasz udział w tych naradach?

W Pradze i Bukareszcie pokazaliśmy między innymi: „Cyklotron”, „Cybernetykę”, „Modliszkę”, „Nowoczesna alchemia”, z filmów krajowych — „Świątynia Mariacka”, „Wawel”, „Na jarmark do Studziannej”.

Jeżeli chodzi o wartość naszego udziału to niestety polskie filmy oświatowe nie wyróżniły się na tle filmów radzieckich i zachodnich. Jeżeli w latach ubiegłych zajmowaliśmy jedno z czołowych miejsc, to w tej chwili

daje się u nas zaobserwować pewien zastój. Co nas po części usprawiedliwia? Przede wszystkim słaby postęp techniczny. Mamy na przykład poważne trudności z opanowaniem techniki filmu kolorowego. Brak nam własnego laboratorium, drogie są materiały barwne (taśma). Ze względów dewizowych musimy się w tym zakresie ograniczać do niezbędnego minimum. A przecież (dalo się to zaobserwować w Pradze) — czarnobiałe filmy naukowe powoli znikają z ekranów, zaczyna zaś dominować film barwny. Również nasza kadra realizatorska wielokrotnie nie wychodzi poza przeciętność.

— Jakby Pan podsumował obydwie te konferencje?

— Przede wszystkim nastąpiła pożyteczna wymiana doświadczeń i projektów. Szczególnie owocna wydaje się konferencja w Pradze, gdzie między innymi postulowano zorganizowanie światowego archiwum filmów naukowych z siedzibą w Londynie. Nawiązaliśmy wiele kontaktów z innymi wytwórniami. (Np. z wytwórnią w Bratysławie).

Rozmawiał:  
**ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK**



Z filmu WFO — „Sztuka ulicy”

to wspólne opracowanie tematów przyszłych filmów. Chodziło o to, aby nie powtarzać tych samych tematów przez kilka wytwórni. Podano również pod dyskusję projekty niektórych scena-

też wydaje mi się, że narada w Pradze była bardzo potrzebna i pożyteczna. Zaprezentowano dorobek prawie wszystkich państw europejskich z przodującymi w tej dziedzinie Związkiem



„PSYCHOZA” — nowy kryminał Alfreda Hitchcocka stał się w krajach zachodnich prawdziwym szlagierem sezonu jesienno-zimowego. Pelen ekspresji fotos powyżej przedstawia parę bohaterów tego filmu — Werę Miles i Antoniego Perkinsa.

## LIST Z PRZYSZŁOŚCI (II)

# PISANE w listopadzie 1961

Jak się wydaje — dobiegł ostatecznie kresu etap okupacyjnych obsesji i rozrachunków. Nie widać też było szerszej kontynuacji (poza „Chłopcem z pociągu”) nurtu rozpoczętych jeszcze gdzieś w „Kanale” masochistycznych dysput o „bohater-szczytnie”, o „glupawym i popisowym „polskim heroizmie”. Zaledwie siedem pozycji — i to niemal wszystkie tylko częścią swej fabuły — poruszały zagadnienia okupacji, gdy w ubiegłych latach tematy wojenne przekraczały połowę nakręcanych rocznie filmów!

Nastąpił więc wreszcie dawno oczekiwany, wyraźny zwrot do współczesności. Szesnaście pozycji (57% ogólnej produkcji), które mówią o dniu dzisiejszym, lub najdalej wczorajszym — to nie bagatel!

Inaczej zresztą być nie mogło. Jak nie ma dobrego teatru bez klasyki w repertuarze (paradoksalnie...) — tak nie może istnieć kinematografia, która by nie skupiała głównego wysiłku na penetrowaniu współczes-

ności. To nie jest żadne widzimisię Wysokich Czynników, ani żaden wymysł teoretyczny — po prostu rzecz do sprawdzenia w każdym kraju na kuli ziemskiej, gdzie tylko kręcą filmy.

Mamy więc współczesność na ekranie, leczby względnie i procenty na pewno spełniły nasze oczekiwania. Lecz jakościowo?..

Znów się rzekam, nie chcę oceniać wartości artystycznej i ideowej poszczególnych pozycji. Chodzi o zakres podejmowanych tematów, problematykę, chodzi o geografie środowisk — i dosłownie o geografie naszego kraju.

Prawo serii działa jak dawniej. Mieliśmy niedługo film po filmie o walce z okupantem, o chuliganach, teraz znów przyszła moda na seryjne tematy pod hasłem „likwidacja band”, „miłość w małym miasteczku”, trwa nieprzerwanie seria „Jak komedia — to tylko w Warszawie...” Środowiska: przeważnie in-

teligencja wielkich i małych miast, robotnik na ekranie pojawia się już znacznie rzadziej, chłop — prawie nigdy — przyjmujemy ten najbardziej schematyczny podział. Wszystko razem — zwrócone do współczesności, ale jakże chętnie błędzi po jej peryferiach, marginesach. Już nieraz się zdaje, że ten i ów scenarzysta, realizator złapał przysłowiową piętę Achillesa — podjął „doniosły temat”. Ale nie, okazuje się — złapał tylko za obcas, but został w ręku, Achilles się wymknął... W każdym ambitniejszym fil-

mie wyczuwa się jakąś obawę przed zrobieniem jeszcze kroku do przodu, strach przed podjęciem kluczowej problematyki społecznej i politycznej. Zdobywanie prestiżu odbywa się na terenie walorów artystycznych, a tak rzadko z myślą o jego funkcji społecznej filmu.

Z drugiej strony — istnieje inny rodzaj obaw; zrodzone one zostały przez smutne skutki teorii i praktyki sztuki bezkonfliktowej. Bohaterowie naszych filmów uwikłani są

zawsze w sytuacji niezwykle, wyjątkowej — a więc pozornie bardziej dramatycznej, piętrzącej lawinę konfliktów. Przeważnie są to jednak konflikty postaw psychicznych, lub moralnych, rzadko polityczne, a często rzecz sprowadza się do efektownej pirotechniki albo pijatyki.

Wyjątkowe sytuacje miały być odtrutką na nudę scenematyzmu; w efekcie wyszliśmy z tego daleko poza obszar powszedniego życia z wyuczonych ludzi naszego kraju. Prawie nikt w tych filmach nie przeżywa kłopotów materialnych, nie wylicza złotych przed pierwszym, nie szuka mieszkania, nie użera się z chamskim kierownikiem w miejscu pracy... W obawie przed szarością (tak — właśnie oni!) zrzucili sobie z pleców niewygodny wór małych, nieważnych konfliktów — bo z tych kłopotów trudno ponoć złożyć wielkie dramaty. Zgoda, że trudno — lecz te właśnie kłocki powinny wypełnić kunsztowny szkielet niezwyklej zdarzeń...

W ten właśnie sposób nasz film znalazł się między Scyllą wielkiej problematyki a Charybdą powszedniości, jakby się wszyscy uparli znaleźć „złoty środek”.

Złoto jest jednak tylko na powierzchni, bliższy sprawności warsztatu scenarzystów i reżyserów, poskrobać — ukaże się jałowość i bezbarwność. „Półambicje” i „ambicje pozorne” są tylko zasłoną dymną, skrywającą ucieczkę do polskiej rzeczywistości ostatnich lat.

Darujcie że w swoim liście nie będę wskazywał przyczyn wymienionych słabości polskiego filmu. Odpowiedzialność za to spoczywa nie tylko na filmowcach, ponosi ją także i literatura, i nędze naszej krytyki, i niezdrowy system akceptacji scenariuszy i źle przygotowane, nieszczerze narady, które nie prowadzą do żadnych wniosków. Można te czynniki mnożyć jeszcze długo!

Lecz zostawmy miejsce na dyskusję.

**SPECTATOR**  
Kraków, w listopadzie 1961.

# KOŃSKI PYSK

„Koński pysk” Rolanda Neame’a i Aleca Guinnessa okazuje się jednym z tych „małych arcydzieł”, których zawartość jest może bardzo literacka, niezbyt odkrywcza, ale jednocześnie skromna, bezpretensjonalna, zaprawiona łagodnym humorem.

Film opowiada kilka dość luźno związanych ze sobą przygód, osobliwego malarza; odznacza się on wybitnym i uznanym talentem, ale choć obrazy jego „uświeceniawo” — malarz klepie biedę, zamieszkuje przycumowaną do brzegu barkę na Tamizie.

Z pojęciem komedii zwykliśmy łączyć filmy klasy B, które nas bawią, niekiedy zadziwiają — niekoniecznie sięgając głębszych warstw wrażliwości.

„Koński pysk” jest w zasadzie komedią. Jak mi się jednak wydaje, dość konwencjonalny humor sytuacyjny nie stanowi o jego istotnej wartości. Zalet filmu należy się chyba doszukiwać w owym „drugim wymiarze” — w poetycko-filozoficznym podtekście zmuszającym widza do niepokojów.

Roland Neame jest reżyserem na ogół w Polsce nieznanym, ale „Koński pysk” zaleca zwrócić na niego większą uwagę. Natomiast nazwisko scenarzysty i wykonawcy roli malarza Jimsona — że użyję tu starego chwytu konferansjerów — brzmi ALEC GUINNESS!

**TADEUSZ ŻAKOWIECKI**



# Dziewczyna z prowincji

Możliwość zobaczenia sławnej Grace Kelly — do niedawna aktorki, a obecnie księżnej Monaco — będzie zapewne dla wielu widzów najważniejszym atutem „Dziewczyny z prowincji”. W istocie znaczenie tego filmu jest większe, otrzymaliśmy sugestywny i rzetelnie zrobiony dramat psychologiczny: Grace Kelly gra w nim rzeczywiście „pierwsze skrzypce”, a jej partnerzy — Bing Crosby i William Holden — niewiele jej aktorstwu ustępują.

Bohater filmu — Frank Elgin (Bing Crosby), niegdys sławny aktor — zdaje sobie sprawę, że jego rozgłos przemija. Wszelkimi sposobami stara się przedłużyć swoją artystyczną biografię, chce być nadal znany i lubiany. Jednocześnie jednak — boi się powrotu na scenę. Aby zagłuszyć w sobie te dwa sprzeczne uczucia, aby odwlec moment decyzji i roz-



rachunku z własnym życiem — zaczyna pić. Sprawa Elgina jest w gruncie rzeczy tylko niemal marginesem dla trudniejszego, bardziej złożonego dramatu jego żony. Chcąc przywrócić męża scenie i życiu — Georgie rezygnuje z szansy poślubienia młodego i przystojnego reżysera teatralnego i wybiera drogę trudną.

Ciekawy i aktualny problem wyboru własnego losu, konflikt między przeszłością a przyszłością — wpisany został w tym filmie w tło realistycznie pokazanego środowiska arty-

stów amerykańskich. Scenarzysta i reżyser nie ukrywa przed nami żadnych słabostek, ani sprzeczności nurtujących to środowisko — i cała opowieść staje się tym bardziej pasjonująca, bardzo nam bliska...

Film „Dziewczyna z prowincji” powstał w roku 1954. Scenariusz napisał i reżyserował George Seaton, znany dotychczas głównie jako autor komedii. Omalwany film zdobył dwa „Oscary” — za świetną kreację Grace Kelly, oraz za scenariusz.

**EDWARD GĘGOTEK**